

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ADAM MIECZYŚLAW SZNAPER

**FRANEK
FSZYSTKONIETAK**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*
* *
*

– Słuchaj, Franek – powiedziałem któregoś dnia – wiem, że jesteś chłopakiem bystrym i roztargniętym. Czy można z tobą poważnie porozmawiać?

– Dlaczego nie? – odpowiedział i spojrzał na mnie z ukosa.

Jestem przekonany, że gdyby Franek był koniem, równocześnie zastrzygłby uszami. Ale Franek był chłopcem. Toteż błyskawicznie przejrzał w myśli rejestr swoich ostatnich grzechów i stwierdziwszy, że nie ma się czego bać, przybrał wyczekujący wyraz twarzy.

– A o czym? – spytał.

– O tobie, o twoich kolegach, o szkole, rodzicach, zmartwieniach... Ale ty chyba nie masz zmartwień, prawda?

– Lepiej nie mówić – odpowiedział.

– To świetnie! – ucieszyłem się i chociaż jego odpowiedź była zwyczajnym unikami, zacząłem go ciągnąć za język.

– Z czego pan się tak cieszy? – Franek próbował udawać obrażonego.

Patrzył spod przymrużonych powiek i opuścił kąciki ust ku dołowi. Przypomniałem sobie, że za tę minę koledzy mianowali go „dyrektorkiem”.

Zacząłem się tłumaczyć:

– Nie gniewaj się. Naprawdę nie chciałem cię obrazić. Piszę w tej chwili o chłopcu w twoim wieku i... Ale, ale: ile ty masz właściwie lat?

– ...naście – wymamrotał Franek.

– Otóż to! – potwierdziłem skwapliwie. – Tyle samo, co i on! Więc jesteście rówieśnikami.

– Ale ja chodzę o klasę wcześniej – pochwalił się Franek.

– Drobiazg – odpowiedziałem. – Możesz się przecież obciąć i zostaniesz na drugi rok.

Franek zamrugnął oczami i spytał:

– Czy może z tego pan się tak cieszył?

– Kto wie, kto wie? – odparłem, goniąc za własną myślą. – Sądziłem, że mój chłopak nie ma zmartwień. Jest zawsze uśmiechnięty, skory do żartów. Jakże może mieć problemy? Brak futbolówki, psa?

– To swoją drogą.

– Piekielnie mało! Brak futbolówki nie jest jeszcze problemem, a książka, jeżeli ma być ciekawa, musi zawierać jakieś konflikty.

– Przecież sam pan mówił o tych klasach.

– O klasach? Czy może masz na myśli... Tfu, na psa urok!

– No, właśnie – potwierdził Franek i kiwnął głową.

– Chłopie kochany, wsadzę cię na sto koni! Otóż mamy i konflikt. Tylko **czy wy, chłopcy, rzeczywiście przywiązujecie do cenzury taką wagę?**

– Ba! – westchnął Franek i umknął spojrzeniem w bok. – A pan, to niby nigdy nie chodził do szkoły?

Franek ma rację. Co tu gadać, każdy ma kłopoty na swoją miarę. Kiedy przypomnę sobie łacińskie koniugacje i składnię, dziś jeszcze cierpnie na mnie skóra. Pamiętam, jak stałem

przed tablicą z rękami umazanymi kredą i atramentem i z obłędem w oczach usiłowałem rozszyfrować niepokonaną łamigłówkę. Był to jakiś czcigodny, pełen mądrości cytat, zręcznie zamaskowany przewrotną budową zdania. Znajome słowa urągliwie szczyrzyły do mnie litery i beczelnie się uśmiechały. Spoza szkieł binokli profesor głęboko zaglądał mi w oczy i dodawał otuchy: „Śmiało, chłopcze! Dlaczego się peszysz? Przecież to takie łatwe”.

Na poprzedniej lekcji łaciny przerabialiśmy mowę Cycerona przeciwko Katylinie. Mowę tę znałem na pamięć i, co mnie dzisiaj niesłychanie dziwi, kilka pierwszych zdań umiałem nawet przetłumaczyć. Nie wiem dlaczego, właśnie wtedy uznałem za wskazane pochwalić się swoją wiedzą. Wpiłem się chciwie wzrokiem w szkła profesora i z dumą wypaliłem: „Jak długo, Katylino, nadużywać będziesz naszej cierpliwości? Czyż...” Chciałem mówić dalej, ale wzięto mnie za ucho i wyprowadzono za drzwi. „Nie pokazuj się bez matki” – dodał profesor na pożegnanie.

Gdzie są blaski, muszą być także i cienie. Widocznie cień moich wspomnień padł na drobną figurkę Franka, bo pochwyciłem jego uważny wzrok. Roześmiałem się, ale Franka niełatwo było oszukać.

– No, widzi pan. Sam pan widzi. I jeszcze pyta pan o zmartwienia. A wie pan, jaki trudny jest teraz program szkolny? Mamy więcej kłopotów niż włosów na głowie.

Z zażenowaniem poklepałem się po łysinie.

– To nie dowodzi... – zacząłem.

– Aha, nie dowodzi! – powiedział Franek. – Szukał pan konfliktu, proszę bardzo.

– Przecież nie miałem na myśli konfliktu z tobą.

– Ja wcale nie o tym – wyjaśnił Franek – tylko że moje życie to jedno wielkie nieporozumienie. No, pewnie!

– Dlaczegoż to?

– Jak to: „dlaczego”? Szkoła, dom i w ogóle... albo niech pan mi powie, co to jest świat? Bo przecież musi mieć jakiś koniec, no nie? A co dalej? Mówi się „nic”. Zgoda. A co to jest „nic”? „Nic” to także jakieś coś.

– Wolnego – powiedziałem. – Nie daj się zwariować. Wszystko w swoim czasie.

– Dorośli to tak zawsze. „Najważniejsze, żebyś odrobił lekcje” albo: „Weź się za książkę”. A właśnie, że dzisiaj wszystkie lekcje już odrobiłem. Ale pan i tak nie będzie chciał ze mną gadać.

– Sam cię o tę rozmowę prosiłem, tylko nie można rozmawiać tak chaotycznie, na łapucapu. Trzeba obrać metodę. Przecież czytelnik chce poznać wszystko dokładnie. A więc: ile masz lat?

– Już mówiłem.

– Ach, prawda. Mieszkasz?

– W Warszawie.

– Na ulicy?

– Mamy się przeprowadzić.

– Nazywasz się? Zresztą mniejsza z tym. I tak muszę zmyślić inne nazwisko. Klasa?

– Klasa!

– Spryciarz z ciebie. Ustalmy jeszcze jedno: porę roku.

– Czy to takie ważne?

– Bardzo ważne. Konkretny człowiek musi się znajdować w konkretnej sytuacji. Więc gdzie jesteście i co robimy? Lepimy na podwórku bałwana?

– Nieee! To dobre dla dzieci.

– Siedzimy w kinie?

– Przecież w kinie nie wolno rozmawiać.

– Racja. Jesteśmy na ulicy. Przez zamarznąłą szybę oglądamy wystawę księgarni.

– To już sto razy wolę, żeby było lato.

– W parku, na ławce?

– Chyba lepiej na basenie. Albo na plaży. Tak, na plaży! Jemy wiśnie i popijamy oranżadą. Lubi pan wiśnie, bo ja tak.

Chciałem mu zadać podstępne pytanie, czy są wakacje, ale właśnie wtedy zawołał go kolega:

– Te, Franek, idziemy się kąpać!

I poszli.

Rozmawiałem z nim później i dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. On mówił o sobie, a ja o sobie. Zwyczajnie, jak w rozmowie. A jeszcze później, kiedy wziąłem do ręki pióro, wszystko to mi się poplątało i teraz wcale nie jestem pewny, co powiedział Franek, a co ja. I dlatego nie gniewajcie się, jeżeli tu i ówdzie własne słowa będę wkładał w jego usta. Naprawdę nie robię tego przez przekorę i nie chcę go ośmieszyć. Słowo honoru! Książka ma być o Franku i nie powinienem wtykać do niej swoich trzech groszy.

A jeśli się wam wyda „coś nie tak” – napiszcie do mnie.

Jestem pewny, że wszystko się wyjaśni.

2:3 DLA WARSZAWY

U państwa Fszystkonietak zaczął się normalny dzień. To znaczy nienormalny, bo jak zwykle szło wszystko na opak. Ojciec Franka pracował w hotelu, przeważnie na nocną zmianę, i potem musiał odsypiać w ciągu dnia.

Mieszkanko było niewielkie i nawet w kuchni słyszało się chrapanie ojca. Franek zawsze się dziwił, że ojciec umie zasnąć leżąc na wznak i że śpi tak godzinami, nie zmieniając pozycji. Kiedy Franek był dzieckiem, zasypiał zawsze na prawym boku, zwrócony twarzą do pokoju, podkładając pod policzek dłonie złożone jak do modlitwy. Sypiał wtedy w białym, żelaznym łóżeczku, z niebieską siatką i opuszczonymi poręczami. Teraz sypia na tapczanie. Gdy tylko się położy, zwija się jak sprężyna i naciąga kódrę na głowę. W nocy dzieje się tak, jakby się ta sprężyna w nim rozkręcała. Rzuca się i odkrywa, śpi ukośnie, czasem nawet w poprzek tapczana, a kiedyś wylądował z kódrą na podłodze. Raz to matka powiedziała, że widocznie coś zbroił w ciągu dnia i że gryzie go sumienie.

Nie. Franka nic nie gryzie. Jest po prostu żywotny i nerwowy. Nawet we śnie musi wylądować nadmiar energii. Zresztą nie jest pewne, czy matka mówiła na serio, czy tylko żartowała. W tej chwili jednak nie jest to ważne. Noc już minęła i cała rodzina siedzi teraz przy śniadaniu.

Stół nakryty białym obrusem, w koszyczku kilka gatunków świeżego pieczywa, a w szklankach gorąca kawa z mlekiem albo raczej mleko z kawą. Ojciec popija mleko i serwetką ociera wąsy. Niedawno wrócił z pracy. Franek i Krysia patrzą niespokojnie na zegar, a matka szykuje drugie śniadanie, które wezmą ze sobą do szkoły.

Sięgając po pieczywo, Franek trącił rękawem szklanke i na obrusie zakwitła beżowa plama.

– Wiecznie to samo – mówi matka. – O czym ten chłopak myśli?

Ho, ho! Jest o czym myśleć! Po pierwsze: powie matka, czy nie powie? Po drugie: Marychna. Po trzecie: skarb.

Marychna to szkolna koleżanka. Siedzi tuż za nim, w następnej ławce, i chociaż jest już drugie półrocze, Franek dopiero niedawno ją zauważył. Doskonale pamięta ten dzień. W stolówce był na obiad bigos i jego zapach rozpełznął się po całej szkole. Przy stole Marychna usiadła obok Franka i przepisywała zrobioną maczkiem ściągawkę. Nie mogła czegoś odcyfrować i zwróciła się do niego o pomoc. Odczytywali wspólnie. Franek poczuł zapach wody kolońskiej. Nie podnosząc głowy, spojrzął z ukosa na Marychnę, ale zobaczył tylko usta. Nie śmiał odwrócić głowy i nie wiedzieć dlaczego zarumienił się. To już jest coś! Franek nigdy się nie rumieni.

Po lekcjach chciał jej zafundować loda, ale zabrakło mu pieniędzy. Przez cały dzień myślał tylko o Marychnie, a nawet chciał napisać dla niej wiersz. Na ogół bez trudu znajdował rymy. Teraz brakowało mu słów. Zaczynał wiele razy, potem skreślał. Nie mógł oddać tamtego nastroju. Wreszcie ułożył czterowiersz;

*Kieszęń moja
Jest taka pusta.
Pachną twe usta
I ta kapusta.*

Skreślił. Kieszęń uznał za niepotrzebną, to przecież było później. Napisał od nowa na czystej kartce:

*W sercu moim jest taka pustka,
Pachną twe usta i ta kapustka.*

Komu jest potrzebna do szczęścia jakaś parszywa kapusta? Po diabła się to pcha? Skreślił i napisał jeszcze raz, także na czysto:

*W sercu moim jest taka pustka!
Pachną twe usta i twoja chustka.*

Chustki żadnej nie było, a co do ust, to też pytanie. Może to pachniały jej włosy? Podarł wszystko i wściekły położył się spać.

– Pośpieszcie się – mówi matka. – Za dziesięć minut musicie wyjść z domu.

Potem zwraca się do ojca i głos jej nabiera ostrzejszych tonów:

– Czy nie uważasz za wskazane obejrzeć jego dzienniczka?

To musiało nastąpić. Franek krztusi się mlekiem i parska. Krzywi się przy tym tak komicznie, że Kryśka nie wytrzymuje i wybucha śmiechem.

– Przestań wreszcie błaznować! – Uwaga ta odnosi się oczywiście do Franka. – Ten chłopak wpędzi mnie do grobu! Wczoraj znowu przyniósł uwagę.

Ojciec podnosi pytający wzrok, a Frankowi napływają do oczu łzy.

W tej chwili chętnie zapadłby się pod ziemię razem z krzesłem.

– Czy nie powiesz mu ani słowa?

– Hm, tak... – mruży ojciec – oczywiście. Jestem pewny, że to się nie powtórzy.

– Zawsze go bronisz. Powinieneś go jeszcze pogłaskać – zauważa matka cierpko. – Co z ciebie za ojciec? Inni ojcowie nie tak chowają swoje dzieci. Niechby taki Włodek ośmielił się przynieść do domu uwagę.

Ostatecznie wszystko skrupia się na ojcu. Franek wolałby dostać w skórę niż tego słuchać. Ileż razy solennie przyrzekał sobie poprawę? Kiedyś to nawet przez cztery lekcje siedział jak trusia i nie odezwał się ani słowem. Koniec końcem i tak nic z tego nie wyszło. Na pauzie jakiś dryblas ze starszej klasy huknął go w głowę książką. Franek był niski i niepozornie wyglądał. Niejeden już się na to nabrał. Jak przyszło co do czego, Franek umiał sobie dać radę z kilkoma naraz. Był zwinny i chorobliwie ambitny na punkcie siły. Może dlatego, że był za niski. Gdyby równie ambitnie chciał walczyć o wyniki w nauce, byłby jednym z najlepszych uczniów, ale nauka nie sprawiała mu trudności i odnosił się do niej lekceważąco. „Jakoś to będzie” – mówił i odkładał wszystko na ostatnią chwilę. Dla własnej przyjemności potrafił się nauczyć na pamięć piętnastu stron z „Kwiatów polskich”, ale na myśl o tym, że będzie się musiał nauczyć dwudziestu słówek – ogarniała go rozpacz.

– Coś ty tam znowu zbroił? – pyta ojciec.

Franek łyka łzy i milczkiem wstaje od stołu. Żeby już prędzej mieć ten skarb!

– Bo wy wszyscy tylko na mnie i na mnie – wybucha znienacka. – Dobrze, jestem najgorszy! Dobrze, niech sobie będę! Nie zależy mi! Jeszcze zobaczymy! – I płacząc wybiega z domu.

A było tak:

Chociaż Franek mieszkał w śródmieściu, jeździł do szkoły daleko, aż na Bródno, pół godziny tramwajem w jedną stronę. W tej samej klasie był także niejaki Gryl, tęgi chłopak, o pół głowy wyższy od Franka. Panowała akurat moda „dawania na orzechy”. Mówił jeden do drugiego: „Chcesz? Dam ci na orzechy” – i gumką przejeżdżał pod włos po głowie kolegi. Tamtego oczywiście boli, ale udaje, że niby nic. Czeka tylko na odpowiedni moment. Już on mu odda za te „orzechy”!

W czasie dużej pauzy Franek podszedł z tyłu do Gryla i chciał mu „dać na orzechy”, ale w tej samej chwili Gryl zrobił pół obrotu i niechcący-naumyślnie wyrznął go łokciem.

– Co? Ty tak?

– A ty jak? – spytał Gryl.

– Ja? Ooo, tak – i przejechał go gumką po głowie.

– A ja tak! – Gryl złapał Franka za nos.

To przekraczało reguły gry i Franek niewiele myśląc, trzepnął go w ucho. Może by się wszystko na tym skończyło, gdyby nie chłopcy, którzy otoczyli ich kołem i zaczęli podjudzać:

– Uwaga! Mecz Warszawa–Praga!

– Pokaż, jak bije Bródno!

Franek machnął ręką, co miało znaczyć „mam go w nosie”, ale został źle zrozumiany, bo natychmiast rozległy się gwizdy i krzyki:

– Górą nasi! 1 : 0 na korzyść Pragi!

– Stchórzył – powiedział Gryl, rozcierając ucho.

– Co? – spytał Franek z błyskiem w oczach. – No, to spróbuj uderzyć!

Gryl spróbował i to tak zręcznie, że Frankowi od razu puściła się krew z nosa. Franek rzucał się na przeciwnika i po chwili obydwaj tarzali się po podłodze.

– Śródmieście, nie daj się!

– Gryl, wal go w Pałac Kultury!

– 2 : 0 dla Bródna!

Franek leżał na wznak i nie mógł zrzucić z siebie znacznie cięższego kolegi. Stopniowo, manewrując tułowiem, zdołał siedzącego przesunąć sobie na piersi, a potem nagłym podrzutem poderwał nogi w górę i splatając je, chwycił Gryla za szyję jak kleszczami.

– Górą Franek! 2:1!

Gryl bezskutecznie próbował się uwolnić i wreszcie rozplakał się ze złości.

– 2:2! – ryczeli chłopcy.

Franka opuściła złość, ale ambicja nie pozwalała mu skończyć nierozegraną. Był reprezentantem śródmieścia. Wybrał moment, kiedy Gryl z uwięzioną głową nieporadnie gramolił się na czworakach, i wyciął mu soczystego klapsa.

Właśnie na tę okazję przybył zwabiony hałasem wychowawca.

– Fszystkonietak – powiedział surowo – w tej chwili puść go! Czyś ty, chłopcze, do reszty postradał rozum? Natychmiast przyniesiesz mi do pokoju nauczycielskiego swój dzienniczek. A ty nie becz. Wstyd!

Franek zmoczył w umywalni chustkę do nosa, starannie wytarł ślady krwi i doprowadził do porządku mundurek. Kiedy szedł do pokoju nauczycielskiego, Gryl ciągle jeszcze siedział z rękami przy twarzy i przez palce ciekły mu łzy. Ale i Franek daleki był od uczucia triumfu. Gorzki jest smak zwycięstwa.

– Jak to było? – zapytał wychowawca.

– Zwyczajnie – odparł Franek. – Pobiliśmy się.

– Czy to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Chyba tak, a zresztą... bo ja wiem?

– Kto kogo pierwszy uderzył?

Co to, to nie! Skarżypytą Franek nie był. Spuścił głowę i milczał, ściskając w kieszeni mokrą chusteczkę.

– Czy nigdy nie zadałeś sobie pytania, jak się to wszystko skończy? Wyjmij rękę z kieszeni i patrz mi w oczy. Jeżeli nie zmienisz zachowania, będziemy cię musieli usunąć ze szkoły. Daj dzienniczek. Żal mi twoich rodziców. Możesz odejść.

Rodzice!

„Z matką jeszcze pół biedy – myślał Franek. – Da w skórę i na tym koniec. Ale ojciec? O, rany! Co teraz robić? Może wyrwać kartkę i dać do podpisania Kryśce? Ma ładny charakter, nie poznają. Tylko jak potem wkleić? Nie da rady. Chyba poproszę matkę, żeby nic nie mówiła ojcu. Raz się tak udało. Najlepiej byłoby wystarać się o drugi dzienniczek. W jednym same uwagi, a w drugim zawiadomienia o zebraniach, komunikaty i tak dalej. Kryśka trzyma ze mną, chyba by podpisała. Marzenie ściętej głowy! I po co ja tego durnia ruszałem? Beks! Tfu!”

Franek rad by nie wracać do domu. To się nie da zrobić, natomiast można opóźnić powrót.

Namówił Maksa i Godlewskiego, którzy mieszkają na Starym Mieście. Zamiast wracać tramwajem, kupili chałwy i poszli na przełaj przez pola w kierunku mostu.

– Wiecie, chłopaki – powiedział Maks, kiedy zbliżali się do nasypu kolejowego – tu gdzieś jest zakopany skarb.

– Bujasz!

– Jak Boga kocham! Edek mi mówił. Przechodził tędy w zeszłym tygodniu i sam widział.

– Co widział?

– Jakiś taki drażek. Na oko niby zwyczajny żelazny drażek. Wystaje z ziemi i kiwa się na wszystkie strony. Ale w żaden sposób nie można go wyciągnąć.

– No i co z tego?

– Jak to: co? Jeszcze nie kapujesz? Ktoś zakopał skarb, a drażek zostawił, żeby potem móc znaleźć.

– Skąd wiesz, że zakopał?

– Murowane!

– Ale dlaczego się kiwa?

– A diabli go wiedzą. Właśnie to jest najbardziej dziwne.

– I wyciągnąć się nie da?

– Mowa! Nie bój się, już ten, co go zakopał, miał głowę. Głupi by do majątku nie doszedł!

– To dlaczego go nie wykopał?

– Może umarł albo wyjechał do Ameryki.

– Poszukamy?

– Jasne!

Rozeszli się po polu. Każdy na swój sposób przeżywał emocję i wiązał z zakopanym skarbem inne nadzieje. Godlewski myślał wyłącznie o kupnie skutera. Bardziej praktyczny Maks postanowił ulokować cały kapitał w książeczkach samochodowych PKO. Co mu tam po skuterze, samochód to dopiero coś! Zajeżdża przed budę własnym wozem, a Filutek robi do niego słodkie oczy i pyta: „Jak tam, Maksiu, podrzucisz mnie do domu?” Filutek to profesor Bielewicz, ich wychowawca. Dopiero miałby się z pyszna!

Franek w swoich marzeniach posuwa się znacznie dalej. Jeżeli jest już skarb, to prawdziwy skarb! Więc tak: po pierwsze, ojciec natychmiast wyjedzie na kilkumiesięczny wypoczynek. Po wtóre... zaraz... co po wtóre? Aha! Zamienią mieszkanie i matka musi mieć kogoś do pomocy. Po trzecie, pies. To konieczny sprawunek, choćby nawet miał kosztować tysiąc złotych, A może kupić małpę? Nie. Lepiej psa. Psa i papugę. Gdyby tak była willa, można by jeszcze kupić konia. Po czwarte, Krystyna. Wybrałby się z nią do cedetu i kupiłby jej wszystko, na co miałyby ochotę. Sam rzuciłby szkołę i od razu zająłby się czym innym. Tylko czym? Nie, szkołę mimo wszystko trzeba skończyć. Nie można być niedoukiem. Zaczął porządkować wydatki i układać bilans:

1) ojciec i matka,

2) pies i papuga,

3) Krystyna.

Psa podkreślił w pamięci i rozejrzał się uważnie. Ciężka mu teczka, a wysoka trawa czeptała się butów. Na domiar złego zaczął siąpić drobny, ukośny deszczyk.

– Idziemy do chaty! – zawołał Maks, wspaniałomyślnie zrzekając się przewagi nad Filutkiem.

Wytworna limuzyna wyminęła skuter i znikła za linią horyzontu, a pies machnął ogonem, jakby chciał powiedzieć: „Zaraz wracam, jeszcze się zobaczymy”.

Na moście zrobili postój. Oparci o barierę długo wpatrywali się w płynącą dołem burą, spienioną rzekę. Rok był dżdżysty i w górach spadły obfite deszcze. Wisła przybrała gwałtownie, kotłowała się, żółkła i gniewnie podorywała wysoki, stromy brzeg. Kiedy się stało na środku mostu i z boków osłoniło rękami przymrużone oczy, można sobie było wyobrazić, że jest się na pełnym morzu i że most jest pokładem potężnego transatlantyku. Spoglądali na bystry nurt i wydawało im się, że woda stoi nieruchomo, a oni sami płyną w dalekie, nieznanne kraje.

– Szybko prujemy, no nie?

– Uhm.

Maks pluął do wody, żeby sprawdzić, ile też robią węzłów na godzinę.

– Patrz, jak daleko!

– Wielka mi sztuka! Umiem jeszcze dalej.

– A skoczyłbyś stąd?

– Jakbyś skoczył pierwszy, to ja też.

– A ty, Franek?

– Jak jesteście tacy dowcipni, skoczcie z Wisły na most. To by dopiero była sztuka.

– Jak raj!

Franek odwrócił się sztywno i naśladując głos Filutka powiedział ze sztuczną powagą:

– Godlewski! Proszę nie używać wulgarnych określeń. To niegodne ucznia.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę podobne sformułowanie, wpiszę ci do dzienniczka uwagę – dodał Godlewski, nie wypadając z tonu.

Franek zasepił się.

– Niektórzy ludzie to mają szczęście – powiedział.

– Jeszcze jakie! – zapewnił Maks. – Jeden to podobno przejechał kajakiem w poprzek przez Niagarę.

– Lipa! – Godlewski wzruszył ramionami.

– Nie żadna lipa, pisali o nim w gazetach.

– Albo taki Robinson – rzekł Franek, myśląc o tym, jakby to było dobrze nie musieć wracać do domu.

– Daj spokój, wcale mu nie zazdrozczę – powiedział Maks.

– Ale dostał wycisk. Na drugi raz nie będzie taki ważny.

– O czym ty mówisz?

– No, o Grylu.

– Ale farbę ci puścił.

– Phi, wielka mi sztuka. Tylko dlatego, że znienacka. Sam też oberwał. Kwiczał jak prosię.

– Niepotrzebnie się dałeś napuścić – zauważył Godlewski. – Warszawa–Bródno, myślałby kto!

Za Wisłą pożegnali się i każdy z nich poszedł inną ulicą.

Franek umył ręce, zjadł obiad i z miejsca usiadł do lekcji.

– Dużo masz zadane? – spytała matka.

– Tak sobie, nie specjalnie.

Pochylił się nad książką.

Zgięty pręt sprężysty, wyprostowując się, podrzuca pionowo do góry ciało o masie 150 g, tak że ciało to wznosi się do wysokości 2,5 m w miejscu, gdzie $g=981\text{cm/sek.}^2$. Jakiej pracy potrzeba, by wywołać takie właśnie zgięcie sprężyny, o jakim tu mowa, jeżeli zakładamy, że

żadnych przy tym czynników komplikujących zjawisko nie ma i że energia potencjalna odkształconej sprężyny całkowicie się zmienia na energię kinetyczną rzuconego ciała?

Siedział długo i wodząc ołówkiem po papierze bezmyślnie przestawiał słowa. Energia potencjalna = potencja = plenipotencja = audiencja = konsystencja = konferencja = kompetencja = kondolencja = konsekwencja. Konsekwencja kinetyczna, kinofikacyjna, fikcyjna. Trzeba będzie pójść do kina na „Siedmiu wspaniałych”. Dzisiaj nie ma mowy. Po co ja temu bałwanowi dałem w pysk? Moja energia potencjalna przekształciła się w dzienniczku w uwagę antykinofikacyjną. Odłożył książkę z nierozwiązanym zadaniem, wyjął stary brulion i zanotował:

*Gdy sprężyna się rozgina
I energia się wylania,
To bym wolał pójść do kina
Zamiast szukać rozwiązania.*

Potem zaczął przeglądać stare notatki.

W praktyce często jest w użyciu jednostka będąca jednomilionową farada i nazywana mikrofaradem. Zgodnie z określeniem...

Jednomilionowa? Jak się ma milion, można sobie określać zgodnie albo niezgodnie, jak kto woli. Można w ogóle nie określać, tylko zwyczajnie skreślić. Koniecznie trzeba przeszucać pole. Jeżeli to prawda, że jest ten pręt... Taki głupi pręt: wystaje z ziemi i wydawałoby się, że nie warto go nawet kopnąć. A to jest właśnie ten pręt sprężysty. Kiwa się, kiwa, a jak się wyprostuje, może podrzucić do góry ciało o masie 10 000 000 złotych. A może tam są i brylanty? Trzeba sprawdzić. Tyle forsy!

Zapisał:

*Ojciec w nowym mercedesie,
Za nim Kryśka mknie na „osie”,
Mama w nowej willi w lesie
Do pomocy ma gosposię.*

*Pies nazywa się Filutek,
Sierść jak pancierz na nim lśni,
Ma
I wspaniale, białe kły.*

Co takiego może mieć pies, żeby był rym do „Filutek”?

Zamyślił się.

– Nie możesz sobie dać rady? – matka od dłuższego czasu obserwowała go. – Może Krysia by ci pomogła?

– Nie, nie! Wszystko w porządku.

– Zawsze powinieneś tak robić. Jak się wróci ze szkoły, od razu siadać do lekcji. Potem cały wieczór jest wolny. Możesz sobie pójść do Włodzia albo do Henia.

– No, właśnie.

– Dużo masz jeszcze do roboty?

– Nnie... właściwie już skończyłem. Jeszcze tylko mam się nauczyć na pamięć jednego wiersza, ale to frajer.

Franek złożył książki, a brulion ukrył pod spodem w rogu szuflady.

WIZYTA

Heńka nie zastał w domu, a u Antka matka uchyliła założone na łańcuch drzwi i wyjaśniła:

– Antoś pisze wypracowanie z polskiego. Przyjdź później.

Franek wiedział, że dzisiaj nie ma tam już po co zaglądać. Znał dobrze tę piosenkę. Jak tylko chciano się pozbyć któregoś z kolegów, Antoś „pisał wypracowanie z polskiego”. Gdyby to była prawda, Antoś do tej pory napisałby już trylogię i pięć tomów krytyk. Ale niech tam!

Piętro niżej mieszkał Bambuła, to znaczy Włodek. Nazywali go Bambułą, bo był grubawy i najmniej ruchliwy spośród ich piątki. Piątym był Wiesiek, który mieszkał na tej samej ulicy, o kilka domów dalej, ale Frankowi było po drodze do Bambuły.

Otworzyła mu ciocia, niska, energiczna kobiecina, która prowadziła całe gospodarstwo.

– Dzień dobry. Czy jest Włodek?

– Wchodź prędko, bo przeciąg mało głowy nie urwie.

Włodek siedział przy masywnym dębowym stole i przy pomocy kalki technicznej przenoślił „w skali” małą podobiznę, z której uparł się zrobić portret.

Ojciec Włodka był inżynierem i Bambuła wbrew zakazowi bardzo chętnie posługiwał się jego kalkami, cyrklami i grafionami. Koledzy śmieli się, że jak Włodek dorośnie, będzie projektował sedesy.

– Sie masz, Bambuła! Wysmażyłeś jakiś ładny klozecik? – zawołał Franek od progu.

– Psst, idioto, nie widzisz? – wskazał na ojca który ucinał poobiednią drzemkę.

– Cie choroba...

Nie odwracając głowy ojciec spytał;

– Włodek, która godzina?

Włodek miał umysł na wskroś filozoficzny i na każdą sprawę umiał spojrzeć z przeciwnego punktu widzenia. Co ojca może obchodzić godzina? Obiad już zjadł, w mieszkaniu ciepło, przytulnie, leży sobie jak król. Jeżeli się dowie, która godzina, czas się przez to nie zmieni. W dodatku jeszcze ta kalka...

Toteż wkładając cyrkle do pudełka, powiedział z zadumą:

– Jest ta godzina, która jest w tej chwili.

– Przestań błaznować, tylko skocz i spojrzij na zegar.

Włodek z godnością zniósł obelgę, schował cyrkle do szuflady i podważał pinezki, którymi kalka przypięta była do rajzbretu.

– Włodek!

– Słucham tatusia.

– Miałeś zobaczyć, która godzina!

– Mówiłem tatusiowi, że jest ta godzina, która jest w tej chwili – odparł Włodek, ujmując delikatnie brzegi kalki i zwijając ją w rolkę. Starał się zachować pozory spokoju, ale emocja była duża. Wojna nerwów. Na jego twarzy wykwitł nikły rumieniec.

Ojciec odwrócił się i spuścił nogi z tapczanu, a Włodek z niezwykłą u niego chyżością pomknął do drugiego pokoju.

– Po co się tatuś fatyguje? Jest za piętnaście siódma. Tak, jak mówiłem.

– Przez ciebie spóźnię się na brydża! Filozof! Swoją filozofię schowaj sobie **dla równych sobie!**

Inżynier włożył pantofle, zawiązał krawat i wkrótce wyszedł.

- No, bracie, mamy własny lokal. Idziemy po Antka.
- W y p r a c o w a n i e z p o l s k i e g o ! Heńka też nie ma, a ze mną nie klawo.
- Gała?
- Żeby! Uwaga w dzienniczku.
- Zawsze musisz z czymś wyskoczyć. Ty, bracie, bierz przykład z ryb. To życiowo najmańdrzejsze stworzenia.
- Niby dlaczego?
- Poobserwuj je tylko. Siedzą cicho i nic nie mówią. A swoje robią.
- Uczył Marcin Marcina.

Słuchali, jak z nie dokręconego kranu kapie woda; plik-plak...plik-plik-plak... plik-plak.

- Matka już wie? – spytał po chwili Włodek.
- Nie, skąd!
- Jak się dowie, zrobi z ciebie zupę – stwierdził Włodek.
- Mnie idzie o ojca.
- O ojca? – zdumiał się Włodek. – Cóż on ci zrobi?
- Właśnie, że nic.
- No więc?
- Dużo by mówić. Ty tego nie rozumiesz. Twój stary, jak się zeźli, z miejsca łapie pasek i sprawa załatwiona. Za pięć minut możesz zrobić następną drakę. Z moim całkiem inaczej. Obiecałem mu.
- Mało to się obiecuje?
- Ale nie jemu. Ma zaufanie. Jak coś przeskrobie, to tak się czuję, jakbym go okradł.
- Ma swoją metodę.
- To nie metoda, to charakter.
- Biciem się niczego nie wskóra. Ja tam swoich dzieci nie będę bić, a ty?
- Zastanawiam się, czy w ogóle warto mieć dzieci?
- Chcesz zostać księdzem?
- Dlaczego zaraz księdzem?

Siedzieli przy słabym blasku światła z sąsiedniego pokoju. Z kranu w łazience monotonnie kapiała woda.

- Wierzysz w Boga? – zapytał Włodek. – Tylko nie powiedz, że nigdy się nad tym nie zastanawiałeś.
- Dlaczego miałbym kłamać? Owszem, zastanawiałem się. Bardzo często się zastanawiam.
- No i?
- Chyba nie wierzę – wyznał Franek.
- Chyba, to żadna odpowiedź. Tak albo nie?
- Więc: nie.
- Tak myślałem.
- A ty wierzysz? – zapytał Franek.
- Chyba tak...
- Znowu chyba! Znaczący, że nie wierzysz.
- Wierzę.
- Pytałeś, czy się nad tym zastanawiam. Opowiem ci jedną historię. Trzy lata temu, na wakacjach, wybrałem się ze znajomym chłopakiem na ryby. Mieliśmy tylko jeden haczyk. Po drodze ten chłopak zaczął wędkać o krzak i haczyk urwał się. Łazimy na kolanach, szukamy, a ten chłopak w kółko powtarza: „Święty Antoni Padewski, Obywatelu Niebieski – pomóż mi szukać”. No, myślę sobie, przy pomocy świętego obywatela znajdziemy jak nie, tak nie ma. Jakby go ziemia pochłonięła. Nareszcie i tego chłopaka diabli wzięli, wstał i mówi:

„Święty Antoni, mam cię w nosie. Wracamy do domu”. Idziemy i gadamy, śmiejemy się, aż tu ni z tego, ni z owego ten chłopak mówi: „Przepraszam”. Zrobiłem wielkie oczy: „Kogo przepraszasz?” – pytam. „No, świętego Antoniego przepraszam”. Eee, myślę sobie, nie bądź taki cwany! Wątpię, czy święty da się przeprosić za to, że masz go w nosie. Chyba nie jest głupszy od ciebie. Boisz się, zwyczajnie się boisz. Kombinujesz tak: jeżeli go nie ma, korona mi z głowy nie spadnie, a jeżeli jest, na wszelki wypadek warto się zabezpieczyć. No i co to za wiara?

– Co innego święty, a co innego Bóg.

– A jeszcze co innego człowiek. Ja przecież mówię o tym chłopaku.

– Rozmawiałeś na ten temat ze swoim starym?

– Mówi: „Chcesz – wierz, nie chcesz – nie wierz. Twoja sprawa, nie będę ci niczego narzucał. Nie powiem ani tak, ani nie, bo nie wiem. Nie mogę wierzyć w coś, czego nie widziałem i czego nie można sprawdzić. Ale udowodnić, że Boga nie ma, też nie sposób. Kościół zabrania krytykować swoje dogmaty i grozi piekłem, a myśleć trzeba. Ty i Krysia jesteście moimi dziećmi. Im więcej się uczycie i zastanawiacie, tym więcej mnie to cieszy. Jeżeli mam już dzieci, chciałbym, żeby te dzieci były mądre. Ucz się, analizuj, stwórzysz sobie własną teorię”.

– Tak ci powiedział?

– Aha! Masz zapalki?

– Na co ci zapalki?

– Warto by trochę poświecić, bo ciemno.

– Czeka, mam w łazience takie fajne, tekturowe pudełko po maści. Ustawimy na popielnicze i niech się pali.

Po chwili wrócił z szarym, tekturowym pudełkiem. Zapalił zapalkę. Zapalił jeszcze dwie, także zgasły. Na pudełku pozostało jedynie trochę kopci. W żaden sposób nie chciało się zająć.

– Wyjmę świecę, co się będziemy męczyć!

Zapalił światło i włożył na szafę. W dużym kartonie leżały zabawki na choinkę. Znalazł ogarek kolorowej świeczki i usiadł przy stole. Ustawił pudełko bokiem i przykleił w środku zapaloną świeczuszkę w ten sposób, że jedna ścianka i część pokrywki znalazły się nad płomieniem,

– Teraz się musi zapalić!

– Musi! Nie ma wyjścia!

– Ale dlaczego ojciec bawi się z tobą w kotka i myszkę? Raz tak, raz siak.

– Bo ja wiem? Może chce mi pokazać sprawę ze wszystkich stron?

Pudełko zaczęło skwierczeć i pokój napełniał się z wolna żółtym, gryzącym dymem. Ale płomieniem zapalić się nie chciało.

– Dlaczego ono się nie chce palić?

– Nie wiesz? Złośliwość rzeczy martwych.

– Zgaszę, pal je sześć.

– Mamy się poddać? Właśnie, że się musi zapalić!

– Może jest przesycone jakimś świństwem?

Zanieśli się kaszlem.

– Zostawiamy wszystko i wiejemy do kuchni – zakomenderował Franek. – Kiedyś musi się przecież zapalić.

– Tylko otworzę okno.

W kuchni Włodek zdjął z półki rondel i obracając go w rękach powiedział:

– Podaj łyżkę, leży obok ciebie.

– Co będziesz robić?

– Zupę.

- Jaką zupę?
- Ba! Żebym ja to wiedział. Powinna być smaczna, bo chcę dodać wszystkiego po trosze. Na razie jest trochę wody, mleka, cukru, ciut-ciut mąki, łyżka masła, sól, pieprz, ziele angielskie, wanilia, cynamon i papryka.
- Listek bobkowy włożyłeś?
- Jeszcze nie.
- Trzeba włożyć. Bez listka będzie do kitu. I trochę pasty pomidorowej. Tak do smaku. Krzatali się po kuchni i zdejmowali z półek rozmaite puszki, słoiki i kamionki.
- Włożyć ze dwa goździki?
- Walaj! Jak wszystko, to wszystko.
- Włodek gotował zupę, a Franek ustawiał naczynia.
- Ostatnia zapalka – mruknął Włodek, zapalając gaz.
- Trzeba utrzymywać stały płomień – doradzał Franek.
- Z podwórka dobiegały zmieszane głosy.
- Zobaczą, co się stało – powiedział Włodek,
- Co cię to obchodzi? Pilnuj zupy! Czekaj, jest jeszcze jedna torebka. Dosypać?
- Syp, co się pytasz!
- Dużo?
- Łyżkę stołową.
- A co to takiego?
- Czy ja jestem wróżka? Skąd mogę wiedzieć?

Kiedy Franek wsypał do rondelka łyżkę sody, całość bardzo efektownie wykypiała i podłoga pokryła się bąbelkami kleistej cieczy. Aż się wierzyć nie chciało, że taką nikłą ilością można zalać tak dużą płaszczyznę, i to w dodatku w linii falistej. Kolorystycznie zjawisko też było bardzo ciekawe. Rozbielona mlekiem i mąką pasta pomidorowa wpadała w wyrafinowane, pastelowe półtony. Na tło tego pejzażu rzucone były: tu goździk, ówdzie listek bobkowy, ziele angielskie i wanilia, pieprz i cynamon. Martwa natura.

Nie zdążyli jeszcze nacieszyć oczu tym widokiem, gdy rozległo się gwałtowne łomotanie do drzwi. Włodek skoczył, jakby go ktoś z tyłu dźgnął sztyłem, chwycił ścierkę do naczyń i gorączkowo ją wycierał podłogę.

– Chwileczkę! – krzyknął.

Za drzwiami zakotłowało się. Dał się słyszeć tupot nóg i mrozące krew w żyłach okrzyki: „Pali się! Pożar!”

Franek poderwał się jak ranny jeleń.

– Gdzie się pali?! – zawołał, na oścież otwierając drzwi.

– U was!

– U nas wszystko w porządku – powiedział Włodek, wyzymając brudną ścierkę.

– Zejdź na podwórko i zobacz! – krzyknął dozorca.

Skacząc po cztery stopnie, zbiegli na zatłoczone ludźmi podwórze.

Z okna stołowego pokoju waliły wełniste kłęby żółto-czarnego, smrodliwego dymu. Nie wiedzieć kiedy znaleźli się z powrotem na górze. W pokoju było aż gęsto i tak przeraźliwie cuchnęło, że natychmiast cofnęli się za próg.

– Pójdę na ochotnika – powiedział Franek.

Nabrał powietrza w płuca i wpadł do środka. Ze świecy nie pozostało śladu, a niezwykłe pudełko nadal dumnie tkwiło na stole i z nadgryzionej płomieniem ścianki mściwie sączyło na pokój jadowity fetor. Franek zdjął je ze stołu i pobiegł do łazienki, ciągnąc za sobą warkocz smolistego dymu.

– Nic się nie pali! – krzyknął po drodze.

Włodek jak jaki dyplomata wyszedł na balkon i uspokajał wzburzony tłum. „Wszystko w porządku” – słyszał Franek w łazience.

– Co zrobiłeś z tą maszyną piekielną? – spytał Włodek. – Najlepiej podrzyj i wrzuć do ubikacji.
– Coś ty? – oburzył się Franek. – Wszystko jedno, a ja i tak je spalę!
– Byle nie w łazience – zastrzegł Włodek.
– U ciebie dzisiaj straszy – stwierdził Franek. – Papier się nie chce palić, a napaśtek zupy o mało nas nie zatopił. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby z kranu wypłynęła nagle syrena.
– Nawet nie spróbowaliśmy zupy – rzekł Włodek z żalem i smętnie popatrzał na podłogę.
Franek zalał wodą swędzącą się ściankę pudełka i schował je do kieszeni. „Jeżeli uda mi się je spalić, znajdę skarb” – pomyślał. Przypomniawszy sobie „zgięty pręt sprężysty” i to, że „żadnych przy tym czynników komplikujących zjawisko nie ma”.

*Ojciec w nowym mercedesie,
Za nim Kryśka mknie na „osie”,
Mama w nowej willi w lesie
Do pomocy ma gosposię.*

Rany Julek! Przecież na jutro musi mieć podpisaną „uwagę”. Na pewno jest już późno. Znowu będzie piekło.

– To cześć, Bambuła! Do jutra! Trzymaj się! – I bez komentarzy wybiegł na schody.
– Świnia jedna! Nawet nie pomógł zmyć podłogi – powiedział Włodek.
Zwinął brudną ścierkę i rzucił nią w muchę. Ścierka przykleiła się na chwilę do sufitu, potem z kłębieniem spadła na kafłową posadzkę, zostawiając na białym tle tłusty, ohydny ślad.

NA BAZARZE

Rodzice Heńka prowadzili na bazarze stragan ze szkłem i fajansem. Heniek był o dwa lata starszy od Franka. Skończył ileś tam klas i już czwarty rok praktykował w małym warsztacie motocyklowym. Motocykle stanowiły jego hobby i chętnie znosił dla nich wszelkie upokorzenia. Zanim przyjęto go do pracy, wystawał przez całe dni pod drzwiami warsztatu i był szczęśliwy, kiedy majster raczył go zauważyć, mówiąc:

– Skocz mi na róg i przynieś paczkę sportów.

Majster nie miał rogów. W ogóle był porządnym chłopem. Niemniej kiedyś pozwolił sobie na bezlitosny żart. Wtykając Heńkowi do ręki metalową końcówkę kabla, powiedział:

– Przytrzymaj mi to.

Potem kopnął starter. Drugi cylinder silnika zaskoczył i Heńka kopnął prąd. Chciał rzucić kabel, ale nie mógł rozewrzeć kurczowo zaciśniętej dłoni. Tańczył przy motocyklu w dziwacznych podrygach jak tekturowy pajac na nitce, a dookoła wszyscy ryczeli ze śmiechu.

Dzisiaj Heniek jest już fachowcem i całą wiedzę o silniku ma w małym palcu. Motocykle zna do najdrobniejszej śrubki, a jeździ jak szatan. Ale szanuje przepisy i jeżeli dostaje do objeżdżenia nie dotarty motor, nie przekracza trzydziestu kilometrów na godzinę.

W sprawach motoryzacji Heniek jest wyrocznią i nie sposób przyłapać go na jakiegokolwiek pomyłce. Leżeli kiedyś na plaży, wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego pędziły dziesiątki pojazdów. Nagle Heniek odezwał się:

– Jedzie inżynier Niebudkiewicz.

– Bujasz!

– O co zakład?

– O kino. Kto przegra – funduje.

– Pamiętaj! Zielona maszyna z koszem.

Dobiegli do Wału i po chwili minął ich zielony motocykl z przyczepką.

– Stawiasz kino.

– Skąd wiedziałeś?

– Poznałem po ogłosie. To zündapp, w Warszawie nie ma takich maszyn. Tylko Niebudkiewicz i jeszcze jeden mają zündappy, ale tamten inaczej pracuje, łatwo odróżnić.

Heniek znał wszystkie marki motocykli: Indian, BMW, BSA, Charley Dawidson, Royal Enfield – firmy, o których w Warszawie rzadko kto słyszał. Całym sercem oddany był swojemu zawodowi i ciężka praca w warsztacie stanowiła dla niego nieustające pasmo radości. Znał życie od tej strony, o której Franek, Antek i Wiesław nie mieli jeszcze pojęcia. Imponował im przedwczesną dojrzałością, ale żaden z nich nie byłby się do tego przyznał. Przyjaźnili się z Heńkiem jak równi z równym. On był bogatszy w doświadczenie, oni w książkową wiedzę.

W tej chwili Franek jedzie na bazar. Szef zachorował i Heniek ma kilka dni wolne.

W trolejbusie jak zwykle panuje tłok. Na przystanku ludzie tłumnie wtargnęli do wnętrza i przydusili Franka do jakiejś babiny, która ani o centymetr nie posunęła się naprzód. Babina prychnęła gniewnie i mówi:

– Nie pchaj się, mały!

– Co, ja się nie pcham? To pani się nie pcha!

– Jaka to teraz młodzież! Matce za mleko nie zapłacił, a mądrzy się. Kurzy łeb!

– Newton jak miał 16 lat odkrył prawo grawitacji, a jeden pan miał 78 i umarł na rozmięczenie mózgu – odciął się Franek wysiadając.

Do innych już dawno zwracają się: „kawalerze” albo nawet: „proszę pana”, a do niego ciągle: „ty”. Ot, los! Czy to jego wina, że jest taki niski?

Heniek, który zastępował rodziców, gdzieś wyszedł i zostawił w oknie karteczkę: „Zaraz wracam”.

Franek znalazł go przy stoisku z płytami. Przesłuchiwał „Marsz turecki” Mozarta.

– Cześć! Kupujesz adapter?

– Pss... – **Heniek puścił oko.** – Kupił nie kupił, potargować można. Nie mogłem wysiedzieć. Czuję się w tej budzie jak słoń w składzie porcelany.

Otworzył drzwi i wpuścił Franka do kiosku.

– Co tam z Włodkiem narozrabialiście?

– Nic takiego. Eksperyment naukowy. A bo co?

– Dostał lanie jak się patrzy.

– Nauka pochłania wciąż nowe ofiary – westchnął Franek.

– Masz rację. Pamiętam, jak remontowałem pierwszy motor...

Heniek długo opowiadał, operując fachowymi terminami.

W przyszłym tygodniu będę docierał jawę. Mogę cię powozić.

– Pojechałbyś na Bródno? Koło nasypu kolejowego jest zakopany skarb.

– Jaki skarb?

– Trzeba sprawdzić.

– Nie wierzę w żadne skarby. Czego człowiek nosem z ziemi nie wyorze i tymi dwiema rękami, samo do niego nie przyjdzie – wyciągnął stwardniałe dłonie, poplamione oliwą i towotem.

Wokół paznokci czerniały żałobne obwódki, których nie można było domyc.

– Właśnie mówię! Wzięlibyśmy ze sobą łopatę. Po co orać nosem?

– Ktoś cię nabujał. Wybij sobie z głowy te brednie.

– Nie chcesz, to nie. Nie będę cię siłą dorabiał. I bez ciebie pójdę.

– A idź. Tylko uważaj, żebyś się nie oszukał.

– Najwyżej.

Do kiosku podeszła kobieta.

– Czy są szklanki?

– Jeżeli pani myśli o wiśniach, to na stoisku z owocami.

– Też żarty!

– Poważnie. Szklanych szklanek nie ma na lekarstwo. Może na Pięknej?

– Trzeba od razu tak mówić. Dziękuję.

– Do widzenia pani! – I dodał cicho: – Stuknięta czy co? Szklanek jej się zachciało! A z kubka to nie łaska? W głowach się ludziom przewracało.

– Ładnie traktujesz klientów.

– Takich klientów mogę mieć na kopy! Dawaj tylko szklanki.

– Gdybyś włożył tyle duszy w szklanki, ile w motocykle, musiałbyś dobudować składzik.

– Już ty, jak co powiesz! Dusza w szklance!

Roześmieli się.

– Ciekawe, ile może ważyć dusza? – powiedział Franek.

– W ogóle co to takiego: dusza?

– Czy śniło ci się kiedyś, że umarłeś?

– Śniło mi się, że umieram, ale się obudziłem,

– Jasne! Sama śmierć nigdy się nie wyśni – dowodził Franek – zawsze się w takiej chwili obudzisz.

- Rzeczywiście. Ale, co dalej?
- Dalej? Żyjesz sobie normalnie i wcale się swoją śmiercią nie przejmujesz. Jakby jej nie było. A może w ogóle życie to sen?
- Ja mam trochę inną teorię – rzekł Heniek. – Każda droga prowadzi do jakiegoś celu, tak? Tak. Każde życie kończy się śmiercią, tak? Tak. Stąd wniosek, że celem życia jest śmierć, nie?
- Nie – wtrącił Franek.
- Co jest dalej, to mnie już nie obchodzi. Chcę się tylko jakoś urządzić. Nie chcę dymać przez całą drogę na piechotę, wolę dojechać do celu motocyklem, Jasne? Gdybym się miał przez całe życie męczyć i czekać na to, co będzie po śmierci, od razu wolałbym się powiesić. A wymagania mam skromne. Nie szukam gruszek na wierzbie ani zakopanego skarbu.
- Ze skarbu to ty się nie śmiej. Jeszcze zobaczymy. A jak znajdę?
- Odpalisz mi na motor.
- Pewnie, że tak.
- Właściwie na co tobie pieniądze? Życie to sen... I tak się przecież obudzisz.
- Lubię przyjemne sny. Czy śniło ci się kiedyś, że latasz? Ale sam, bez niczego. O, tak! – Franek machnął rękami i na podłogę upadło z brzękiem kilka spodków.
- Tak to każdy potrafi. Niewielka sztuka – Heniek sprzątał skorupy. – Jak już znajdziesz swój skarb, zwrócisz moim starym za spodki.
- Przepraszam, niechący...
- Nie tłumacz się. Znam cię na wylot. Zrobiłeś to celowo i złośliwie. Dawaj dzienniczek!
- Franek zatoczył się ze śmiechu i Heniek ledwie zdążył go ostrzec: „Uwaga, talerze!”. Po chwili Franek uspokoił się i zapytał:
 - Czy nie uważasz, że świat jest cokolwiek zwariowany? Popatrz tylko: chodzi do naszej klasy jeden, który się nazywa Wołek. Wiem, że z nazwiska nie wypada się śmiać, ale ten Wołek zawsze mnie śmieszy. A znów chłopaki, jakby jeszcze było mało dowcipnie, z miejsca przewali go: „Kołek”. Kiedyś mamy mecz z inną klasą i słyszę, że tamci na jednego ze swoich wołają: „Wołek”. Więc się pytam: „U was też jest Wołek?” A oni na to: „Właściwie to on się nazywa Kołek, ale przezywamy go «Wołek», żeby było śmiesznie”. I co ty na to?
 - Ale Heniek nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie wrócili z obiadu jego rodzice.
 - Oj, Heniu, Heniu – powiedziała matka wchodząc. – Myślałam, że jesteś troszeczkę doroslejszy. Jak mogłeś zrobić coś takiego?
 - A co takiego, mamusiu? – spytał Heniek zaniepokojony. – Chyba jakaś pomyłka. Nic takiego nie zrobiłem.
 - Ładna mi pomyłka! Najlepszą naszą klientkę wysyłasz po szklanki do owocarni. Skąd ci to przyszło do głowy?
 - Ach, to! – Heniek lekceważąco machnął ręką. Bo wszystko, co nie dotyczyło motocykli, wydawało mu się mało poważne.

WYWIADÓWKA

– Ten chłopiec nie wykazuje za grosz dobrej woli – mówił pan Bielewicz do matki Franka.
– Zakopcił nam całą szkołę i musieliśmy przerwać lekcje. To niesłychane, na co on sobie pozwala.

– Mam cały dom na głowie... Nie ma go komu dopilnować. Mąż pracuje po nocach... – tłumaczyła matka Franka. – Niech pan profesor będzie łaskaw darować jeszcze tym razem. Już ja się nim zajmę. Franuś nie jest złym chłopcem. Może trochę wisus i mało obowiązkowy, ale ja to w nim zmienię. Zmienię, na pewno!

– Mamy tu różne dzieci, z różnych środowisk i do każdego podchodzimy indywidualnie. Ale do niego naprawdę nie można znaleźć klucza. Do tego chłopca nic nie trafia. Proszę wziąć pod uwagę jego ostatni wyczyn. Czym się kierował? Obserwujemy dzieci i staramy się je zrozumieć, nawet usprawiedliwić, ale żadna analiza nie przemawia na korzyść pani syna. No, bo proszę: w pracowni fizycznej, pod nieobecność nauczyciela, spala jakąś brudną ścierkę czy też kliszę. Chęć eksperymentu? Skądże! Przeprowadzamy w szkole niezwykle ciekawe doświadczenia z fizyki i chemii. Syn pani ma z fizyki niedostatecznie. Ostatnio z trudem wyciągnął na trzy z minusem, i to przy całej dobrej woli ze strony profesora. Uczy się nędznie. Tak, nędznie. Fizyka interesuje go w minimalnym stopniu. Skąd więc ta nagła chęć eksperymentowania? Jaka naukowa ciekawość mogła go popchnąć do spalania nad palnikiem brudnych, cuchnących szmat? Wcale nie jestem pewny, czy jeszcze za pół godziny nie podpaliłby całej szkoły...

– Co też pan profesor? – pani Fszystkonietak rozplakała się.

– Nie mówię, żeby specjalnie, uchowaj Boże! – zapewnił pan Bielewicz. – Chociaż z chłopcami nigdy nie wiadomo.

– Całą winę ponosi ojciec – pani Fszystkonietak ocierała łzy. – Zawsze na wszystko temu dziecku pozwala. Rozpuścił go do ostatecznych granic. Czy pan profesor da wiarę, że nigdy go jeszcze nie uderzył?

Wychowawca przetarł binokle.

– Należy znaleźć jakąś metodę – odpowiedział wymijająco.

– Już ja ją dzisiaj znajdę – zapewniła matka Franka.

– Franek należy do tych chłopców, których trzeba krótko trzymać – powiedział wychowawca i dyskretnie spojrzął na zegarek. – Nie zazdroszczę pani. Franuś ma destruktywny charakter, ale ma też i wyjątkowy talent organizacyjny. W sumie stwarza to coś w rodzaju antytalentu. Czy pani da wiarę, że swobodniej oddychamy, gdy przez kilka dni nie ma go w szkole? Od razu udaje nam się zaprowadzić w klasie inny porządek. Ale co z tego? Jak tylko przyjdzie, natychmiast wszystko burzy. Chłopcy dziwnie mu ulegają.

– On już i w domu próbuje zaprowadzić swój porządek. A mąż, zamiast mi pomóc, jeszcze podrywa mój autorytet. Nie umie pokierować chłopcem ani skarcić go.

Pani Fszystkonietak coś sobie przypomniała i oczy jej znowu napełniły się łzami.

– Proszę nie płakać. Dobrze. Niech przyjdzie jutro do szkoły.

– Wchodzę, panie profesorze, do pokoju i słyszę, jak ojciec mówi do niego: „Połóż widelec, bo matka idzie”. Czy to tak można?

A było tak:

U państwa Fszystkonietak od samego rana była straszna awantura. Poszło oczywiście o któregoś z dzieci. Żeby wiedzieć, co u państwa Fszystkonietak oznacza słowo „awantura”, trzeba koniecznie samemu być świadkiem.

Jest niedziela. Krysia poszła do koleżanki. Franek siedzi przy oknie i czyta książkę. Ojciec leży na tapczanie. Czyta gazetę. Matka krąży po mieszkaniu jak chmura gradowa. Z kuchni dobiega szczęk naczyń.

Za chwilę matka już jest w pokoju. I znowu w kuchni. I znów w pokoju. Na twarzy wyraz napięcia. Przez ostatnią godzinę, z krótkimi tylko przerwami dla nabrania oddechu, robiła mężowi gorzkie wyrzuty za brak pieniędzy, za przekręcony kran i zachowanie Franka.

Ojciec nie odezwał się ani słowem. Franek zbiera w sobie odwagę i wreszcie prosi:

– Nie kłóćcie się.

– Przecież my się wcale nie kłócimy – pogodnie mówi ojciec. – To tylko matka sobie rozmawia. Helenko, czy ty to wszystko na serio, czy tylko żartujesz?

Pani Fszystkonietak zbyt głośno uderza szczotką o nogi stołu.

– No, dosyć – mówi ojciec poważnie. – Daj spokój, nie denerwuj się.

Chce matkę pocałować w rękę, ale pani Fszystkonietak wrywa się i biegnie do kuchni.

– Nie można już wytrzymać w tym domu – mówi Franek. – Dlaczego pozwalasz sobie tak jeździć po głowie?

– Ciii... – odpowiada ojciec. – Ty jeszcze bardzo mało rozumiesz. Takich matek, jak twoja, szukać ze świecą i też się nie znajdzie. Czy wiesz, ile pracy kosztuje utrzymanie domu? Powinieneś się starać, żeby matka nie miała przez ciebie dodatkowych przykrości. Przecież ta kobieta orze jak koń. Twoja matka jest wyjątkowym człowiekiem.

– Ale...

– Nie ma co mówić, masz idealną matkę. A to, że czasem trochę ponarzeka... trudno.

Ojciec zamyka oczy i udaje, że zasypia, ale Franek wie, że mama stanowczo przekroczyła granicę i że cała sprawa tak się nie skończy.

O czwartej siadają do obiadu. Ojciec ma zaczerwienione powieki i trochę nieprzytomnie patrzy w okno. Stół nakryty jak zwykle: biała serweta, koszyczek z pieczywem, talerze, łyżki, widelce, noże. Mama wyszła do kuchni po garnek z zupą. Franek bawi się widelcem. Już nie-raz ojciec zwracał mu uwagę, że kulturalni ludzie nie zachowują się tak przy stole. Franek stara się o tym pamiętać. Dawniej lepił przy jedzeniu kulki z chleba lub szczepiał ze sobą zębami dwa widelce i bawił się w huśtawkę. Ostatnio tego nie robi. Chce zachowywać się kulturalnie. Dzisiaj jest podniecony i nerwowo obraca w palcach widelec. Ojciec nie zwraca mu uwagi. Czeka. Gdy po chwili w drzwiach ukazuje się matka z garnkiem zupy, pan Fszystkonietak pochyła się konfidencjonalnie ku Frankowi i mówi głośnym szeptem:

– Połóż widelec, bo matka idzie.

Tego pani Fszystkonietak nie może mężowi zapomnieć.

W KLASIE

Dzisiaj Frankowi udało się wzbudzić w klasie sensację. Marychna patrzyła na niego z podziwem. Podczas lekcji czuł na sobie jej wzrok i niespokojnie kręcił się w ławce.

Mianowicie zdobył gdzieś starą gazetę z tłustym nagłówkiem, który podsunął mu pomysł. Gdy nauczyciel wszedł do klasy, Franek zaskoczył wszystkich słowami:

– Panie profesorze, Maks zabił Godlewskiego! Jest o tym w gazecie!

I podeszedł do katedry.

W klasie powstał tumult. Wszyscy zerwali się z miejsc i stłoczyli wokół Franka i profesora. Rzecz jasna, najbardziej pchali się Godlewski i Maks, bo przecież sprawa bezpośrednio ich dotyczyła. Profesor ujął gazetę i zaczął czytać:

MAX ZABIŁ GODLEWSKIEGO

W czasie meczu bokserskiego zawodowców wagi półciężkiej w Minneapolis (USA) po prawym sierpowym, zadany przez zawodnika Maxa, Godlewski nie podniósł się z ringu. Stwierdzono, że Max miał zaszytą w rękawicy sztabkę ołowiu...

– Wracajcie na miejsca – powiedział nauczyciel. – Co to znowu? No, udał się kawał. Tym razem ci daruję.

Maks i Godlewski ściskali sobie ręce, a Marychna spojrzała na Franka tak jakoś dziwnie i rzekła:

– Och, Franek, ale ty jesteś!

Nauczyciel długo mówił o sporcie, etyce zawodowej i człowieczeństwie. Upiekło im się pół lekcji. Tego dnia Marychna usiadła w stołówce obok Franka. Nie rozmawiali ze sobą i prawie na siebie nie patrzyli. Mimo to jedna z koleżanek rzekła zaczepnie:

– Co to, Marychna, zmieniłaś miejsce?

Franek był w siódmym niebie. Więc jednak może się podobać takiej wspaniałej dziewczynie, jak Marychna!

Tego samego dnia odniósł w szkole jeszcze dwa sukcesy. Pani od biologii skrzyła jakoś na tematy przyrodnicze i wypytywała o skorupiaki. W czasie lekcji Franek ułożył piosenkę, która z miejsca zyskała popularność:

Okropnie było na biologii,

Pani się pyta: co to rak?

Czy szczypce jego to są nogi,

Czy to ryba, czy też ssak?

Rak to nie ryba,

Ptak to nie ssak,

A dwójki mamy i tak, i tak.

Co to za moda?

Co to za moda?

Przecież biologia to nie przyroda!

A pan od polskiego przyniósł ze sobą stos zeszytów i omawiał klasówkę. Przy całej klasie pochwalił Franka za fantazję i powiedział, że gdyby nie ortografia, to postawiłby mu dobry stopień. Na razie, dla zachęty, ma trzy z minusem. Potem wręczył mu zeszyt i kazał przeczytać na głos. Franek zrobił się czerwony jak burak, ale nie mógł się wykręcić. Zaczął czytać:

WYWIAD ZE MNĄ, KIEDY JUŻ BĘDĘ WIELKIM CZŁOWIEKIEM

Dzisiaj rano sekretarka zameldowała, że chciałby ze mną przeprowadzić wywiad redaktor znanego dziennika.

– Dobrze – odpowiedziałem – tylko prędko, bo nie mam czasu. Jestem piekielnie zajęty i nie mogę sobie zwracać głowy g ł ó p s t w a m i.

Potem wszedł redaktor i grzecznie się uklonił. Poprosiłem, żeby usiadł w fotelu, i zapytałem:

– Czy będzie panu tutaj wygodnie?

– Oczywiście – odpowiedział d z i e n n i k a ż – Jak żyję nie widziałem takiego m i ę k i e g o fotela. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

– Tak – powiedziałem i zapaliłem cygaro.

On: – Jak pan znajduje naszą gospodarkę?

Ja: – Nie muszę jej szukać, sama rzuca się w oczy.

On: – Co pan najbardziej lubi?

Ja: – Ładną pogodę.

On: – A z potraw?

Ja: – Proszę notować. Wyłącznie d r u b, dwukropek. Szczególnie śledzie w czekoladzie, średnik. Ubóstwiam także u t k o w i e l o r y b a, kropka.

On: – Czy pan dobrze znosi mroź?

Ja: – Mroźów nie znoszę, przeciwnie, chętnie bym je kazał wynieść. Futra lubię tylko na zwierzętach.

On: – Czy mógłby pan opowiedzieć jakieś zdarzenie ze swojego życia, które szczególnie utkwilo panu w pamięci?

Ja: – Z przyjemnością. Jadłem kiedyś ogon wielkiego pytona.

On: – I co?

Ja: – Zjadłem go do końca.

On: – To rzeczywiście dosyć dziwne. Pytony bywają bardzo długie.

Ja: – Najdziwniejsze jest to, że natrafiłem, na zęby. Nigdy nie sądziłem, że zęby mogą rosnąć w środku ogona.

On: – I co pan z nimi zrobił?

Ja: – Poszedłem z nimi do dentysty, bo się ruszały.

On: – Więc to był żywy wąż?

Ja: – Kto go tam wie? Może tylko udawał?

On: – Czy Pan stykał się t a g ż e z innymi węzami?

Ja: – Owszem. Kiedyś w telewizji widziałem „Kobrę”. To było straszne. Wolę nie wspominać.

On: – Co Pan każe przekazać czytelnikom naszego pisma?

Ja: – A czy redakcja przychyli się do mojego życzenia?

On: – Oczywiście.

Ja: – To proszę przekazać czytelnikom czeki płatne na okaziciela.

W klasie podniósł się rumor. Marychna biła brawo.

– Dlaczego nie przenosisz wyrazów? – zapytał pan od polskiego. – Twoje wiersze wyglądają jak tabun dzikich koni: wspinają się na margines, piętrzą, wpadają na siebie albo znie-nacka zjeżdżają w dół. Tak nie można. Trzeba o tym pamiętać. To wszystko obniża stopień.

Na pauzie podszedł do niego Gryl

– Mądrą masz głowę, tylko że się głupiemu dostała.

– Wytrzymaj sobie nos – odpowiedział Franek.

Po lekcjach czekał w szatni na Maksa i Godlewskiego.

– Idziemy szukać skarbu? – zapytał, kiedy wyszli na ulicę.

– Nie mam dzisiaj czasu. W telewizji jest taaka audycja – rzekł Godlewski.

– Właśnie! – poparł go Maks.

– Nie bądźcie dziećmi – gorączkował się Franek, który nie miał telewizora. – Co wam przyjdzie z audycji? Śmieszne! Idziecie?

– Skarb, brachu, nie ucieknie – powiedział Maks rzeczowo. – Nikt o nim nie wie.

– A może ten facet go wykopie?

– Akurat dzisiaj? Daj spokój! Zanosi się na deszcz.

Na przystanku stała Marychna.

– Daleko jedziesz? – spytał Franek.

– Kawałeczek, tylko do wiaduktu.

– Oplaca się jechać? Odprowadzę cię.

– Mam miesięczny – wyjaśniła Marychna, przepuszczając tramwaj. – Pójdziemy przez cmentarz?

– Masz tam kogoś?

– Babcię, ale nie o to idzie. Prawie jej nie znałam.

– Można i przez cmentarz.

– Fajna była twoja klasówka.

– Eee, tam – machnął ręką. – Napisałem byle co, żeby się odczepić.

– Naprawdę jadłeś kiedyś węża?

– Coś ty? Tylko tak dla kawału. Przecież wielkim człowiekiem też nie jestem.

– No, tak – rzekła Marychna i trochę się zasmuciła. – Ale fantazji to ci nie brak, I ta pio-senka...Wiesz – powiedziała po chwili – ja też próbowałam kiedyś napisać wiersz. Będiesz się ze mnie śmiał.

– Dlaczego miałbym się śmiać? Pokaż.

– Bo u nas w domu jest smutno. Ojciec wiecznie chodzi na jakieś zebrania. Matka tak sa-mo. Nigdy ich nie ma. A mnie się samej nudzi. Czytam różne książki, ale to nie to. Jest jesz-cze ciotka, tylko że ciotka częściej rajcuje na podwórku, niż siedzi w domu. Zrobi obiad i już jej nie ma. Więc pomyślałam sobie, że może by zacząć pisać wiersze. Dwa dni temu napisa-łam początek i za żadne skarby nie mogę skończyć. Nie wychodzi.

Skarby? Może by jej powiedzieć? Nie, to nie dla dziewcząt. Zrobiło mu się jej żal.

– Pokaż – powiedział.

Marychna pogrzebała w teczce i wyjęła kartkę. Franek przeczytał:

Jestem sama,

Bo tata i mama

Chodzą na zebrania.

– Czekaj – rzekł Franek – pomyślimy. Trzeba z tym coś zrobić.

Usiedli przed grobem, na kamiennej ławeczce. Wiatr pędził wzdłuż alei kurzawę piasku. Szumiały drzewa. Połyskiwały w słońcu kolorowe szkiełka lampek. Świegotały nieliczne wróble.

Świegot ptaków, jednostajny poszum drzew, nieruchomość krzyży i błyski kolorowych szkieł stapały się w milczeniu. Przytłumiony odgłos przejeżdżającego co kilka minut tramwaju był jednym z elementów tej ciszy.

Nagle cisza pękła na dwoje. Wycie odrzutowca -przecięło ją przez środek jak ostre uderzenie bata.

Franek mimo woli wzdrygnął się i mocniej ścisnął ołówek. Spytał Marychnę, czy można zmienić początek. Zgodziła się. Ostatecznie wyszło coś takiego:

*Tata
To demokrata,
Codziennie lata
Na odprawy.
Mama
Jest taka sama.
O, jakie to przykre są sprawy!
Ciocia Frania
Też gania na zebrania.
Nie szkodzi,
Nie zabraniam,
A co mnie to obchodzi?
Lecz bądźmy szczerzy:
Nam też się coś należy.
Jesteśmy młodzi!*

TEATR

Mniej więcej rok temu Franek dowiedział się, że powstaje Eksperymentalny Teatr Szkolny, który będzie wystawiał sztuki dla młodzieży. Potrzebni są młodzi aktorzy. Franek wywalczył w domu zezwolenie i z bijącym sercem poszedł do nowo utworzonego teatru, który się mieścił w podziemiach potężnego wieżowca. Wprowadzono go wejściem dla aktorów, z czego był niesłychanie dumny.

Owalna sala była równocześnie i widownią, i sceną. Schodziło się ku niej krętym labiryntem białych, marmurowych schodów. Zastłonięte aksamitną kotarą, oszklone drzwi podziemia były wejściem dla publiczności. Mieściły się one u szczytu elipsy. To, co w odróżnieniu od sceny nazwać by trzeba widownią, stanowiła prawa część sali, poliniowana rzędami krzeseł. Lewa część elipsy była sceną.

Zanim powstał Eksperymentalny Teatr Szkolny, Franek był tutaj kiedyś razem z rodzicami na przedstawieniu. Siedział mały, zagubiony wśród dwustu krzeseł, a sala teatru wydawała mu się wtedy ogromna.

Do dzisiejszego dnia doskonale pamięta muzykę i słowa płynące ze sceny. Odbывał wtedy długą podróż, gdzieś daleko po obcych krajach, a śpiew Murzyna wiódł go przez pustynię. Wielbłąd kołysał tułowiem w rytm kroków. Taki sam, jak w zoo. Miły, welniany pysek i zapadłe boki. Albo nie! Taki, jak na pudełku amerykańskich papierosów, które ojciec przyniósł kiedyś z hotelu. Raz... dwa... raz... dwa... Jego ojciec pracuje w hotelu, a Franek? Co będzie robił Franek?

Postanowił zostać aktorem.

Kierownictwo Eksperymentalnego Teatru Szkolnego spoczywało w rękach pani Kobyłańskiej, aktorki i reżyserki. Tego dnia pani Kobyłańska siedziała w gabinecie dyrektora otoczona gronem współpracowników. Przeglądali rozpisane już egzemplarze sztuki. Gdy tylko Franek się przedstawił, powiodła go dyskretnie na bok i zapytała, co go tu sprowadziło?

Starał się nie stracić rezonu, ale wszystkie rozsądne odpowiedzi wywietrzały mu natychmiast z głowy. Zaczął bąkać coś o podobaniu i powołaniu i z trudem zdawał sobie sprawę, dlaczego właściwie przyszedł. Kiedy wątpliwości doszły już do tego stopnia, że jego obecność w teatrze wydała mu się zbyteczna, zrobiło mu się ogromnie żal i zebrawszy resztki odwagi powiedział po prostu:

– Chcę zostać aktorem.

I od razu poczuł się raźniej.

Pani Kobyłańska przyjrzała mu się uważnie sponad okularów i wróciła do przeglądania egzemplarza.

Po chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu weszło jeszcze dwóch chłopców. Przywitani się i usiedli w kącie, od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę Franka. Ktoś spojrzał na zegarek i powiedział:

– Już późno.

– Tak – odpowiedziała pani Kobyłańska – zaraz zaczynamy. Gdzie jest Wiesiek?

Wiesław zjawił się jak na zamówienie. Widać był tu przed chwilą, bo przywitał się tylko z Frankiem i tymi dwoma.

– Wiesław Sławiński – przedstawił się. Wiesław był o dwa lata starszy od Franka i na scenie czuł się zupełnie swobodnie. Jako syn aktora występował dość często w różnych teatrach, w sztukach i bajkach dla dzieci. Teatr był jego drugim domem. Teraz usiadł, założył nogę na nogę i zaczął przeglądać egzemplarz.

– Moi kochani – powiedziała pani Kobyłańska. – Zebraliśmy się tutaj na pierwszą próbę pierwszej sztuki dla dzieci, która będzie wystawiona przez nasz teatr. Czekają nas wiele pracy. Nie myślcie, chłopcy, że gra w prawdziwym teatrze to zabawa. Eksperymentalny Teatr Szkolny musi stanąć na wysokim poziomie, bo czeka go wielkie zadanie. Chcemy przyzwyczaić młodzież do dobrych widowisk, zainteresować widza teatrem i wyrobić w nim smak. Wstęp do teatru jest wolny dla każdego, nie tylko dla tych, którzy chcą zostać aktorami. Trzeba, aby jak najwięcej osób zapoznało się z kulisami teatru, z pracą reżysera, aktora i dekoratora.

Pierwszą sztuką, jaką miał wystawić teatr, była „Królowa Śniegu”. Wszyscy siedzieli teraz w komplecie, czekając na przyjście dwóch aktorów, którzy byli już kilkanaście minut spóźnieni.

– Cóż oni sobie myślą?

– A może się coś stało?

– Przecież mieszkają bardzo blisko. Już wiedzielibyśmy o tym.

– Więc dlaczego nie przychodzą?

– Rzeczywiście, żeby ani jeden...

Nagle otworzyły się drzwi i zdyszany, zaczerwieniony od szybkiego marszu wpadł jeden z oczekiwanych.

– Sam jesteś? – spytała pani Kobyłańska.

– Tak.

– Dlaczego się spóźniasz?

– Bo czekałem na kolegę. Chciałem go namówić, żeby przyszedł.

– To on nie przyjdzie?

– Nie.

– Dlaczego?

Chwila wahania. Chłopaczek poczerwieniał jeszcze bardziej, wreszcie z rozpaczliwą odwagą wypalił:

– Powiedział, że nie będzie się wygłupiał. To dobre dla dziewczynek.

Na drugi dzień na miejsce dezertera Franek przyprowadził ze sobą Włodka. Franek czuł się już starym aktorem i przedstawiając go, powiedział:

– To pewny człowiek.

KLUB DŻENTELMENÓW „VICTORIA”

Dzięki Frankowi Wiesiek dawno już poznał Antka i Heńka. Razem z Włodkiem od roku stanowili nierozłączną piątkę. Latem wspólnie chodzili do parku i na plażę, zimą do kina, na ślizgawkę lub na długie rozmowy. Czasami bawili się w osobliwy sposób, z daleka wyglądało to na zwyczajną bijatykę. Zabierali ze sobą gruby sznur od bielizny i szli Tamką na Wybrzeże Kościuszkowskie. Nad Wisłą przywiązywali sznur do żelaznego słupka balustrady i opuszczali się w dół z nasypu. Potem dzielili się na partie: która partia pierwsza wdrze się z powrotem na wał, ta zwycięża. Mocowali się i ściągali za nogi z oblodzonych kamieni, a potem szczegółowo omawiali taktykę walki, przyczyny zwycięstwa i porażki. Franek wracał do domu w zmiętym palcie i zdeptanych butach. Spodnie na kolanach miał mokre i wyplamione, brudną koszulę i pokiereszowane ręce. Na schodach popluwał w dłonie i wycierał je o biały tynk, żeby mamie wydawały się czystsze. Obrywał w skórę, a na drugi dzień budząc się znajdował przewieszoną przez oparcie krzesła śnieżnobiałą koszulę i spodnie z ostrymi kantami. Nie robił sobie wyrzutów. Nie podejrzewał, ile pracy kosztuje matkę jego zabawa.

Kiedyś w trakcie rozmowy Wiesiek rzucił propozycję:

– Wiecie co, panowie? Musimy założyć klub.

Bardzo im się to podobało. „Panowie” i własny „klub” to już pojęcia, których w żadnym wypadku nie wolno lekceważyć. Nie wiedzieli, jaki ma być ten klub, gdzie się będzie mieścić i co w nim będą robili, ale wszyscy skwapliwie poparli propozycję.

– Dawno o tym myślałem – powiedział Włodek. – Dziwię się, że dopiero teraz przyszło ci to do głowy.

– No, dobra – powiedział Antek – założymy klub i co dalej?

– Dalej się zobaczy – wyjaśnił Wiesiek – najważniejsze, żeby obrać zarząd. Musi być prezes, wiceprezes i tak dalej.

– Kto będzie prezesem? – spytał Franek.

– Możesz być przecież wiceprezesem – uspokoił go Wiesiek – czego się gorączkujesz? Grunt to nazwa. Jak się wymyśli porządną nazwę, reszta pójdzie jak nic. Oczywiście prezesem zostanie projektodawca.

Włodek pokraśniał na twarzy i z dumą wypiął brzuch, ale Wiesiek z miejsca go osadził:

– Projekt należy do mnie. Ty możesz zostać sekretarzem.

Po burzliwej rozmowie ustalono pełną nazwę klubu na: Klub Dżentelmenów „Victoria”. Brzmiało to dźwięcznie i obiecująco. Od tej chwili Włodek jako sekretarz obowiązany był protokołować dalszy ciąg obrad. Zapisał:

Na pierwszym posiedzeniu Członków Założycieli Klubu Dżentelmenów „Victoria” ustalono następujący skład Zarządu:

Prezes Klubu – Wiesiek

Wiceprezes – Franek

Sekretarz – Włodek

Skarbnik – Antek

Jedynym członkiem klubu był Heniek. Początkowo nie chciał się zgodzić, ale Wiesiek wytłumaczył mu, że być pierwszym członkiem, i w dodatku Członkiem Założycielem Klubu Dżentelmenów „Victoria”, samo w sobie jest już wielkim zaszczytem. Ostatecznie Heniek zgodził się.

Później Zarząd uchwalił składki dla członków klubu oraz wpisowe. Składki nie były nawet takie wysokie, cała bieda w tym, że trzeba je było wpłacać za kwartał z góry. Heniek trochę grymasił, ale zapłacił.

W ten sposób Klub Dżentelmenów zdobył pierwsze fundusze. Właściwie powinni byli przeznaczyć je na pieczętkę, jednak Wiesiek przekonał wszystkich, że najpilniejszą sprawą jest kupno fińskiego noża.

Sekretarz zaprotokołował uchwałę i prezes wraz z wiceprezesem udali się w sprawie służbowej do sklepu.

Był to pierwszy i ostatni protokół Klubu Dżentelmenów „Victoria”.

Następnego dnia prezes wyrył na fińskim nożu swoje inicjały i Zarząd Klubu do spółki z Członkiem Założycielem postanowili pozbawić go prezesury. Chcieli go nawet nabić, ale jako dżentelmeni zmienili zamiar i zdecydowali się na bardziej elegancką formę. Antek wyzwał byłego prezesa na pojedynek. Miał to być pojedynek „do pierwszej kropli krwi” i miał się odbyć w bramie domu przeznaczonego do rozbiórki. Prezes nie podjął rzuconej rękawicy i przez kilka dni nie wychylał nosa z mieszkania.

Ponieważ Antek miał własną wiatrówkę, w braku lepszego programu członkowie dżentelmeni schodzili do piwnicy polować na szczury. Szczurów w kamienicy nie było. Ostatecznie strzelali do świeczek i do butelek.

Któregoś dnia wypędził ich z piwnicy dozorca i klub, praktycznie biorąc, przestał istnieć. Takich wypadków nie należy jednak protokołować.

ANTEK

Oprócz wiatrówki Antek miał jeszcze trzy siostry i psa. Biały, puszysty szpic wabił się Bobuś, ale Antek wołał na niego Łysek lub pieszczotliwie: Łychna. Od święta szpic miał także i nazwisko. Było ono dźwięczne i arystokratyczne jak u arabskiego szejka. Pełna reprezentacyjna nazwa Bobusia brzmiała: Łychna Ben-Zadek.

Bobuś był tak wychowany, że nie zadawał się z nikim spoza kręgu domowników. Nawet dozorca i dozorczyńni, których znał doskonale, mieli się przed nim na baczności. Drobne ustępstwa czynił jedynie dla Franka i dla pewnej suczki z sąsiedniej kamienicy.

Antek nie zawsze pisywał wypracowania z polskiego, jak to usiłowała wmówić kolegom jego mama. W ogóle polski obchodził go może najmniej. Interesował się zupełnie czym innym. Po pierwsze, medycyną.

Najstarsza siostra Antka była chirurgiem, trochę młodszą – stomatologiem. Antek wertował grube podręczniki medycyny i wyławiał z nich mądrości niedostępne dla kolegów. Czasem imponował im swoją wiedzą, czasem jednak coś mu się poplątało i udowadniał rzeczy zgoła niemożliwe. Mylił chlorofil z chloroformem i hemoglobinę z hemofilią.

Drugą pasją Antka było myślistwo. Wujek Antka, nadleśniczy, czasami brał go ze sobą na polowania. Kiedyś to nawet podarował mu starą dubeltówkę. Przez kilka tygodni z rządu Antek ustawicznie rozbierał ją i składał, mył w nafcie i oliwił, aż pewnego razu wyskoczyła sprężyna i o mało nie wybiła mu oka. Wyobraźnia podsunęła Antkowi inną scenę. Opowiadał długo i barwnie o groźnym polowaniu z nagonką, o tym, jak potężny odyniec wyszedł na bezpośredni strzał i jak, padając, uderzył go kłami. Opowieść była bardzo zajmująca i miała wszelkie pozory prawdy. Antka zdemaskowała niechęć najmłodsza siostra, która chodziła do jednej klasy z Krystyną.

Chcąc się na niej zemścić, Antek wymyślił zabawę w żywoty świętych i zmusił siostrę do stania przez pół godziny na jednej nodze. Była Szymonem Słupnikiem.

W ogóle Antek wynajdywał zawsze osobliwe zabawy. Na przykład podkradał siostrze gips dentystyczny, rzeźbił w nim, a potem razem z Frankiem topili w łyżce wazowej ołów i wlewali go do gipsowej formy. Antek umiał rysować i ładnie rzeźbił. Niektóre odlewy chowali na pamiętkę. Ołowiu zawsze im brakowało. Postanowili zastąpić go metalem, z którego w drukarniach odlewa się czcionki na linotypach. Ponieważ wstydzili się pójść do drukarni i prosić, namówili znajomego chłopaka, któremu obiecali dać na lody.

– Co ci zależy? – tłumaczył Antek. – Pójdiesz i powiesz: „Proszę pana, niech pan będzie łaskaw dać mi trochę zużytych czcionek”. Masz loda, jak znalazł. No, leć!

Gdyby chłopak posłuchał Antka, być może udałoby mu się coś wyprosić, ale że był przygłupi, usiadł pod oknem drukarni i powtarzał jak katarynka:

– Proszę pana, niech pan mi da trochę startych czcionków! Proszę pana, niech pan mi da trochę startych czcionków! Proszę pana, niech...

Po kilku minutach dał się słyszeć rozwścieczony głos:

– Szoruj na zbity łeb, bo ci kości połamię!

Chłopaczek wcale się tym nie zraził i recytował dalej:

– Proszę pana, niech pan mi da trochę startych czcionków! Proszę...

Franek i Antek kucali ze śmiechu.

– Wal dalej! Jak jesteś z nami, włos ci z głowy nie spadnie.

– Proszę pana, niech pan mi da trochę startych czcionków Pro...

Przez otwarte okno chlusnął strumień wody i z dalszych prób trzeba było na razie zrezygnować.

– Co robimy? – zastanawiał się Antek. – Odlewy odpadają, wiatrówka odpada, dubeltówkę szlag trafił...

– Idziemy na przystań. Zobaczmy, co z kajakami.

Franek i Antek mieli na przystani własne kajaki. Na wiosnę zawsze je odnawiali i wszystkie dni wolne od nauki spędzali nad wodą. Obydwaj świetnie pływali i wiosłowali i obydwaj kochali Wisłę. W każdą niedzielę, jeżeli tylko była pogoda, z samego rana biegli na przystań i spuszczały kajaki na wodę. Potem płynęli w górę rzeki, do Wilanowa albo i dalej, wyciągali je na brzeg i kładli się na bielutkim wiślanym piasku. W drodze powrotnej kajaki puszczały z prądem, a sami płynęli, to wyprzedzając je, to pozostając w tyle. Obydwaj byli muskularni i opaleni.

Pobiegli na przystań.

Po obejrzeniu kajaków doszli do wniosku, że trzeba je zaszpachlować i poasfaltować dna.

– Swój chyba pomaluję – powiedział Franek.

– Na jaki kolor?

– Na białe, a burty na zielone.

– Widziałem ładną zieleń szmaragdową.

– Właśnie o takiej myślę. Warto by kupić emalię, ale za droga.

– Opłaca się malować? Szkoda czasu.

– Nie ma żadnego czasu – odparł Franek.

– Jak to: nie ma?

– Zwyczajnie, po polsku. Czas jest względny.

– Względny czy bezwzględny, zawsze jest.

– Skąd można wiedzieć?

– Jak to: skąd? A zegary?

– To nie wiesz?

– Niby o czym? – zapytał Antek.

– No, o zegarach. Jakbyś ze swoim zegarkiem przeniósł się teraz na Marsa, czas wydawałby ci się zupełnie inny.

– Że niby zegarek inaczej by chodził?

– Nie to. Tylko tam jest inny czas niż na Ziemi.

– Po co szukać Marsa? Starczy wyjechać do Ameryki.

– Znowu inna para kaloszy – odparł Franek. – Czytałeś „W 80 dni dookoła świata”?

– No pewnie! – Antek stuknął kilka razy palcem w dno.

– Nie rozumiem jednej rzeczy – rzekł Franek. – Ten Fileas Fogg jadąc dookoła Ziemi zarobił na czysto jeden dzień...

– Uhm! – przytaknął Antek, odłupując paznokciem kawałek farby. – Zarobił i co z tego?

– Zostaw. Nie skrob. Jeszcze nie wiem, czy będę malował. Znaczący, że jakby jechał dwa razy szybciej, zarobiłby dwa dni.

– Czekać, zaraz...

– A jakby jechał 365 razy szybciej, zarobiłby okrągły rok. To ile by zarobił, gdyby objechał Ziemię w ciągu ułamka sekundy?

– O, rany!

– Uniwersalny sposób na odmłodzenie! Starczy przez minutę polatać naokoło Ziemi z prędkością światła i z miejsca jesteś o kilkadziesiąt lat młodszy. Możesz się cofnąć do czasu,

kiedy cię jeszcze nie było na świecie. A jak chcesz być starszy i znaleźć się w roku dwa tysiące pięćsetnym, lecisz sobie w drugą stronę i klawo. No, nie?

– Wariat! Wisła się pali!

Wstawili kajaki do hangaru i założyli marynarki.

– Skąd tobie takie rzeczy przychodzą do głowy? – zapytał Antek.

– Ja, bracie, czytam wszystko, co mi tylko wpadnie w ręce: „Młody Technik”, „Problemy”. Jak leci. Jest o czym myśleć!

– Musimy się pośpieszyć.

– Wypracowanie z polskiego?

– Możesz się śmiać, a dzisiaj naprawdę mam napisać wypracowanie. Słowo honoru!

– O czym?

– Jaka audycja w telewizji najbardziej mi się podobała i dlaczego? Jaka była jej myśl przewodnia?

– A jaka była? – zakpił Franek.

– Bambusowa. Malowana na niebiesko, w seledynowe ciapki.

– Człowieku, mam jeszcze algebrę! – westchnął Franek.

Antek napisał:

PRACA DOMOWA

Najbardziej podobał mi się kabaret w telewizji. Do hotelu, który nie był hotelem, weszło dwóch starszych ludzi i chcieli wynająć pokoje, których tam w ogóle nie było. Ale oni o tym nie wiedzieli. Trzeci starszy człowiek udawał ducha i straszył w nocnej koszuli. Zamiast zegara kukał portier, co było nadzwyczaj dowcipne i pomysłowe. Byłoby jeszcze dowcipniejsze, gdyby zamiast bicia zegara portier pobił tych panów, ale widocznie nie przyszło mu to do głowy. Potem przyszedł jeszcze jeden pan, tylko młodszy i z walizką. Podobno miał w niej pomidory, ale nie wiadomo, czy to prawda, bo nie pokazywał. Może w telewizji nie mieli pomidorów, bo o tej porze roku są bardzo drogie. Był też zdun i była kobieta. Obydwoje śpiewali. A później był jeszcze pośrednik mieszkaniowy i jakieś małżeństwo. Wszyscy o czymś mówili, ale trudno było wyłowić sens. Na pierwszym piętrze, w pokoju, którego nie było, duch wołał „Jezus Maria”, bo nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu. Myśli przewodniej nie mogłem się doszukać, bo także jej nie było. Poza tym wszystko było bardzo ładne.

Uważam, że takie audycje dla młodzieży powinny być częściej. Tylko szkoda, że tak późno, bo skończyło się o pół do dwunastej w nocy i wszyscy byli senni. Chyba nie z winy autora, ale wszystko jest względne. A podobało mi się dlatego, że to był absurdzik i nie trzeba było myśleć.

A Franek, zamiast odrobić algebrę, wyciągnął brulion i zanotował:

Ponieważ wszystko jest względne,

Myślę, że wszystko jest zbędne.

I położył się spać.

OJCIEC

Czasami Franek grywał z ojcem w szachy. Franek był bardzo drażliwy i nigdy nie chciał brać fory. Ojciec przekonywał go, że taka gra jest niezupełnie uczciwa, bo Franek ma mniej doświadczenia, nie zna teorii i nie będzie mógł wygrać. Niekiedy Franek ulegał namowom i przyjmował fory w postaci damy, później wieży i konia. Jak na swoje lata, Franek grał całkiem nieźle, jednak bardzo rzadko udawało mu się pokonać ojca, który był graczem znakomitym.

Wiedząc o tym, że przyjęcie fory w znikomym stopniu wpłynie na rezultat gry, Franek wolał unikać for i grać jak równy z równym, bo wtedy porażka nie wydawała się tak gorzka, a ewentualne zwycięstwo (co przecież się zdarzało) zamieniało się w prawdziwy sukces. Prawdopodobnie ojciec rozumiał jego politykę, bo niejednokrotnie godził się na grę równorzędną. Wtedy ostrzegał:

- Ale pamiętaj, będziemy grali jak prawdziwi gracze: ruszone idzie, postawione stoi.
- Oczywiście – zgadzał się Franek. – Jak grać, to grać.

Potem zaczynali partię i już po kilku ruchach ojciec mówił:

- Cofnij tę figurę, bo ją zabiorę.
- To bij – upierał się Franek. – Mieliliśmy nie cofać.
- No dobrze – zgadzał się ojciec – ale ja nie chcę od ciebie prezentów. Podstawiane figury nie liczą się.
- Umawialiśmy się, że postawione stoi.
- Prawdziwi gracze tak nie grają. Chciałbym, żeby moja wygrana była wynikiem kombinacji i obliczenia, nie twojej nieuwagi. Taka wygrana nie daje zadowolenia.

Franek cofał figurę i uważał, że wszystko jest w porządku. Przecież kiedyś zrewanżuje się. Ale okazja nigdy się nie trafiała. Ojciec grał uważnie i każdy jego ruch był gruntownie przemyślany. Mimo to ani razu nie zdarzyło się, żeby Franek przegrał wszystkie partie. Zawsze udawało mu się wygrać przynajmniej jedną, z czego był niesłychanie dumny. Bywało i tak, że wygrywał partie zdecydowanie przegrane i nie mógł się nadziwić swoim talentom.

Aż kiedyś w trakcie rozgrywki zauważył, że ojciec dyskretnie usunął z szachownicy własną wieżę i w zamyśleniu postawił ją obok na stole. Wtedy Franek zrozumiał, że wszystkie jego triumfy są pozorne. Zrobiło mu się wstyd. Na domiar złego do całej sprawy wtrąciła się matka, mówiąc:

- Daj dziecku wygrać, przecież widzisz, że ma łzy w oczach.
- Franek zerwał się od stołu i wybiegł z domu.

Wrócił skruszony, przeprosił ojca i od tej pory godził się zawsze na grę z forami, byleby nie były zbyt wysokie. Grywali też partie „bezwzględne”, w których pod żadnym pozorem nie wolno się było cofnąć i każdy ruch był liczony. Franek odkrył, że łatwe zdobycze często stają się przyczyną klęski. Olśniony możliwością bezpłatnego zabrania królowej, robił nieopatrny ruch i w rezultacie błyskawicznie przegrywał partię.

Częściej niż partie szachów odbywały się w domu lekcje języków obcych. Franek uczył się w szkole rosyjskiego i niemieckiego, Krystyna rosyjskiego i francuskiego. Krystynie na-

uka przychodziła bez trudności. Lubiła się uczyć i w swojej klasie była jedną z pierwszych uczennic. Rzadko też i w wyjątkowych okolicznościach korzystała z pomocy ojca. Za to Franek!

W stosunku do Franka ojciec przybrał swoistą metodę i za każdą gruntownie przerobioną czytankę z podręcznika płacił Frankowi niewielką sumę. Wiele było z tego tytułu zadrażeń, ponieważ matka Franka i wszyscy znajomi orzekli zgodnie, że postępowanie takie jest wysoce niepedagogiczne. Franek na własną rękę bronił systemu ojca i odpierając zarzuty znajomych doprowadził rzecz do absurdu, stwierdziwszy, że równie szkodliwe jest udzielanie stypendiów i w ogóle wszelkie systemy kar i nagród, a nawet stawianie stopni. Czy kogoś przekonał, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Jedno jest pewne: z języków obcych Franek był pierwszym uczniem w klasie i obydwaj podręczniki znał na pamięć. Kilka razy zdarzyło się, że profesor od niemieckiego sadzał Franka przy katedrze, każąc mu prowadzić lekcje, a sam zajmował jego miejsce w ławce. Franek lubiłby nawet prowadzenie lekcji, gdyby nie to, że trzeba było wzywać do tablicy kolegów i stawiać im stopnie. Tego za wszelką cenę starał się uniknąć. Po dłuższych targach profesor ustępował i sam przepytował z poprzednich lekcji, jednak żadną miarą nie chciał wystawiać stopni bez porozumienia z Frankiem. Kiedy koledzy zasługiwali na trójki, czwórki i piątki, Franek starał się być jak najbardziej bezstronny, kiedy jednak należało postawić dwójkę, przekonywał profesora, że kolega jest wybitnie speszony i że dwójka całkiem zniechęciłaby go do dalszej nauki. Ku zdziwieniu całej klasy profesor dał Frankowi dziennik, a Franek ogłaszał wszem i wobec: „trzy z dwoma minusami”.

Nigdy się nie zdarzyło, żeby w czasie urzędowania Franka na katedrze ktokolwiek w klasie dostał dwójkę. W ten sposób niepedagogiczne metody ojca wydawały owoce, a co dziwniejsze, koledzy starali się, żeby Frankowi nie przynieść wstydu i prawie zawsze przygotowania byli do odpowiedzi.

Któregoś dnia profesor spojrzął figlarnie na Franka i powiedział:

– Poprowadzisz dzisiejszą lekcję, z tym że ominiemy trzy kolejne czytanki i od razu przejdziemy do czwartej.

Jeżeli profesor myślał, że Franek będzie zaskoczony, grubo się mylił. W tym roku Franek co najmniej pięciokrotnie przeszedł z ojcem cały podręcznik i żadna linijka tekstu nie kryła przed nim tajemnic. Lekcja poszła gładko jak zwykle, a Franek dostał piątkę.

System ojca nie był zapewne bezbłędny, był jednak niezwykle atrakcyjny.

Kiedyś Franek poszedł z ojcem na Wybrzeże Kościuszkowskie. W zapadającym zmierzchu siedzieli obok siebie na ławce, patrząc na skąpane w rzece światła latarni. Co kilkanaście minut z łoskotem przejeżdżał przez most elektryczny pociąg. Ojciec mówił:

– Kiedy byłem mały, dzielnica ta wyglądała zupełnie inaczej. Nie było tu asfaltowych ulic ani jarzeniowych lamp i nie jeździły jeszcze elektryczne pociągi. Teren był nierówny, pagórkowaty, zarośnięty krzakami, pocięty rowami i poznaczony kopcami śmieci. Tu, gdzie dzisiaj jest skwer, był wyboisty, nieregularny plac porośnięty trawą i zielskiem, a na nim huśtawki, strzelnice i karuzele. W budkach sprzedawano kwas, pierniki, wodę sodową i chleb świętojański. Cyganki wróżyły z kart, a kataryniarze z małpkami, świnkami morskimi i papugami sprzedawali swoje dziesięciogroszowe szczęście. Rodzice przyprowadzali mnie tutaj i zawsze, jako największą osobliwość, pokazywali podziurawioną kulami żelazną balustradę, przy której teraz siedzimy. „To jeszcze pamiątka z pierwszej wojny światowej” – powiadali. Żeby im zrobić przyjemność, oglądałem poranione żelazo, ale bardziej przemawiała do mojej wyobraźni otwarta strzelnica, gdzie za pięć groszy można było rozstrzelać butelkę. Rozsypywała się z lodowatym traskiem, a oczy gapiów pełne były podziwu. Później hitlerowcy rozstrzelali tutaj ludzi.

Ojciec na chwilę zamilkł i uważnie patrzył w wodę. Gdzieś daleko zaskomlał pies. Po moście z głuchym dudnieniem przemknął pociąg.

– Miałem chyba nie więcej lat niż ty teraz, kiedy musiałem przerwać naukę. Przed wojną za szkołę płacono bardzo drogo i nie każdy mógł sobie pozwolić na czesne. Nie powodziło się nam najgorzej: twoi dziadkowie byli bardzo pracowici i przedsiębiorczy, ale wtedy otworzyli sklepik, czy coś takiego, i paskudnie dostali w skórę. W domu nie było już nic do sprzedania, gospodarz groził eksmisją, a dyrekcja szkoły nie chciała czekać, chociaż uczyłem się nieźle. W końcu jakaś instytucja charytatywna obiecała umieścić mnie bezpłatnie w Krakowie. Omówiono wszystko listownie i rodzice wsadzili mnie w pociąg. W kieszeni miałem kartkę z adresem i pieniądze na dorożkę. To była moja pierwsza przygoda w życiu, ale jej smak czuję do dzisiejszego dnia.

Kiedy wysiadłem na dworcu z ciężką walizką, w Krakowie padał deszcz. Taksówek wtedy prawie nie było, a krakowscy dorożkarze nosili meloniki, co wydawało mi się ogromnie śmieszne. Mniej zabawny był fakt, że za kurs żądali dwa razy tyle, ile miałem. Pojechałem więc tramwajem, potem szedłem pieszo i wreszcie dobiłem do celu.

Wielki gmach otoczony wysokim murem stał tuż za rogatkami miasta. Musiałem czekać, bo akurat była modlitwa czy też nabożeństwo. Potem zaprowadzono mnie do księdza dyrektora. Postawny, nieco otyły człowiek, o surowej twarzy zadał mi kilka pytań i pobieżnie przejrzał list od rodziców. Następnie oświadczył, że do gimnazjum nie może mnie przyjąć, bo rok szkolny już się rozpoczął. Dodał jednak, że nie mam się czym przejmować, ponieważ są jeszcze wolne miejsca w tak zwanej szkole powszechnej i że przyjmuje mnie do siódmego oddziału.

Szkołę powszechną skończyłem przed dwoma laty i na dobrą sprawę od razu powinienem był wrócić do Warszawy. Ale nie miałem na pociąg, no a po wtóre, byłem już we władzy dyrektora. Tak to się zaczęło bezmyślne marnotrawienie czasu. Pisałem rozpaczliwe listy do domu i ufnie czekałem na odpowiedź. Odpowiedzi rodziców były dla mnie całkiem niezrozumiałe, jakby dotyczyły kogoś innego. Po miesiącu dowiedziałem się, że wszystkie listy i kartki przechodzą przez wewnętrzną cenzurę dyrekcji i dlatego w ogóle nie dotarły do Warszawy.

Nauczyłem się przełazić przez wysoki mur i sam wrzucałem listy do skrzynki pocztowej. Nigdy mnie na tym nie przyłapano, chociaż wymykałem się prawie co noc. Pisywałem dużo. Rodzice przechowywali wszystkie moje listy. Kiedy dorosłem, matka dała mi je w prezencie. Bardzo się z tego ucieszyłem. Zresztą w czasie powstania wszystko spłonęło.

Przeleciał pociąg.

– Czy byłeś bardzo samotny? – zapytał Franek. Ojciec uśmiechnął się.

– Jakoś sobie radziłem. Jeden z naszego oddziału był drużynowym zuchów. Pochodził z okolic Warszawy i prędko znaleźliśmy wspólny język. Zrobił mnie swoim zastępcą. Na terenie internatu mało kto znał się na tych sprawach, a harcerstwo było bardzo modne. W ten sposób zyskałem swobodę. Pod pozorem podchodów i innych ćwiczeń w terenie wychodziliśmy z murów zakładu i dokarmialiśmy się na polach marchwią i burakami pastewnymi. Potem, gdy się zbliżała zima, było znacznie gorzej.

– Źle was karmili? – spytał Franek.

– Hm, nawet nie to. Żeby zrozumieć niektóre rzeczy, musiałbyś poznać rozkład dnia i pojęcie dyscypliny. Więc tak: pobudka była o szóstej rano. Do szóstej piętnaście – czas przeznaczony na mycie, ślanie łóżek i ubranie się. Umywalnie nie mogły pomieścić równocześnie tak wielu chłopców, a ponieważ piętnastominutowy termin był bardzo skąpy, każdy chciał być pierwszy. Stąd pośpiech w ścieleniu łóżek, a łóżka musiały być posłane idealnie gładko, bez jednej zmarszczki na kocu czy prześcieradle. Jeżeli dyżurny wychowawca dopatrzył się choćby drobnego błędu, chwycił siennik za róg i wywracał do góry nogami. Od początku trzeba było ubijać i wyrównywać słomę, wygładzać prześcieradło, składać koc i tak dalej. O myciu się nie mogło być już mowy, bo umywalnię zamykano dokładnie piętnaście po szóstej.

– I przez cały dzień chodziliście nieumyci?

– Zaczekaj chwilę. O szóstej piętnaście wszyscy uczniowie zbierali się w wielkim hallu i stawali rzędami, wyciągając przed siebie ręce. Dyrektor przechodził wzdłuż rzędów, trzymając za plecami giętką trzcinę. Kiedy zobaczył u kogoś brudne ręce, uderzał go trzciną po palcach i wyrzucał z szeregu. Za brudną szyję i uszy wyliczał razy w otwartą dłoń, co jednak mniej bolało niż uderzenie z wierzchu.

O pół do siódmej wszyscy szli do kaplicy na mszę, a dla ukaranych ponownie otwierano umywalnię. Potem w kaplicy stali oddzielnie i za to, że się spóźnili na mszę świętą, pozbawieni byli śniadania. Któregoś dnia cztery razy słałem łóżko, chociaż za każdym razem zaścielone było bardzo porządnie.

– Wychowawca nie lubił cię? – spytał Franek.

– Czy ja wiem? Może to raczej ja jego nie lubiłem? Fakt faktem, że nie zawsze chodziłem syty. U was w szkole wpisuje się uwagę do dzienniczka. Tam było inaczej. Jeżeli ktoś się źle zachowywał, zamykano go po lekcjach w pustym pokoju i, zależnie od stopnia winy, musiał napisać pięćset albo i tysiąc razy takie na przykład zdanie: „Dla błaznów miejsce w cyrku”. To jest zresztą najkrótsze zdanie, jakie pamiętam, bywały znacznie dłuższe. Winowajca nie jadał wtedy obiadu, a czasem i kolacji. Jeżeli miał nieszczęście spóźnić się rano do umywalni, przez cały dzień chodził na czczo. Dla pełnego obrazu trzeba dodać, że sypialnie były prawie nie opalane, a z kranów ciekła tylko zimna woda.

– Nie wyobrażam sobie, jak mogłeś tam wytrzymać – powiedział Franek.

– To całe szczęście... – dalsze słowa ojca zagłuszył pociąg.

– I nie mieliście żadnych rozrywek? Kina? Teatru?

– Owszem, owszem. Były i rozrywki. Nocami prowadziliśmy wojny. Skręcało się mokre ręczniki i kiedy dyżurni poszli już spać, wymykaliśmy się na korytarz i napadaliśmy na kolegów z sąsiedniej sypialni. Oni rewanzowali się następnej nocy, a kilka razy tak się złożyło, że spotkaliśmy się w ciemnościach na korytarzu. Bójki te były dla nas zabawą, ale nigdy nie trwały dłużej niż minutę, bo wychowawcy natychmiast wkraczali do akcji. Atak polegał na całkowitym zaskoczeniu. Wrzawa wybuchała nagle i równie nagle gasła. Zanim ktokolwiek z personelu zdążył się zorientować gdzie i co, wszyscy na powrót leżeli w łóżkach i równo odychali.

Na ferie Bożego Narodzenia przyjechałem do Warszawy. Gdy rodzice zobaczyli jak wyglądam, natychmiast napisali do Krakowa i prosili o odesłanie moich rzeczy. Już tam nie wróciłem. Zresztą ojciec dostał pracę i znowu zaczęło się nam lepiej powodzić. Matka wzięła korepetytora, żebym mógł dogonić szkolny program i nie stracił roku. No i udało mi się.

– Kraków to podłe miasto – stwierdził Franek.

– Co też ci przyszło do głowy? – zdziwił się ojciec. – Kraków to najpiękniejsze miasto, jakie znam.

WSPOMNIENIA

Tej nocy Franek długo nie mógł zasnąć. Leżał wpatrzony w czarny prostokąt nieba i myślał o minionym dniu. Więc jego ojciec miał taką młodość? Ojciec, który potrafi się ze wszystkim uporać, był kiedyś bezradnym dzieckiem?

A jednak skończył szkołę, ożenił się, zdobył pracę i wychowuje własne dzieci.

No, dobrze, ale przecież ojciec i matka też byli dziećmi i mieli własnych rodziców, a jeżeli tak, to chyba kochali ich nie mniej niż Franek kocha swoich? Nie, jego rodzice nie mogli mieć takich rodzin. Dopiero teraz wszystko jest na swoim miejscu. A może jednak? Zaraz... gdyby na przykład Franek ożenił się z Marychną i założył własny dom?... To co z tego? Dom domem, a rodzina pozostałaby rodziną. Zupełny absurd, żeby cokolwiek w życiu mogło być bardziej własne i bardziej kochane niż rodzice i siostra. Ale z drugiej strony... Przecież rodzice mogli myśleć tak samo.

Franka aż coś zakłuło w sercu. Czyż rodzice mogliby kogoś kochać bardziej niż jego i Krystynę? Poczul zazdrość i taki żal, że aż zakręciły mu się łzy w oczach. Jutro rano trzeba będzie o to zapytać. Jutro rano? Boże drogi, przecież jutro ma być klasówka z matmy, a on się do niej zupełnie nie przygotował! Co robić?

Jak to: co robić? Ojciec był w gorszych opałach, a jednak zwyciężył. Franek musi być podobny do ojca, musi być dzielny. Od dzisiaj zmienia swoje życie. Dość wszystkich głupstw i awantur, trzeba myśleć poważnie i żyć z planem!

A więc po pierwsze – nie pójdzie jutro do szkoły. Niech się dzieje, co chce, a na klasówkę nie pójdzie, nie ma głupich. Jak się już na dobre weźmie za naukę, wtedy wszyscy się przekonają, że jest mężczyzną i że można na niego liczyć. To jedno.

Po wtóre – nie ma na co czekać, tylko z miejsca trzeba się zająć tym skarbem. Taka okazja może się po raz drugi w życiu nie zdarzyć. Godlewski i Maks to frajerzy! Nie wiedzą, co w trawie piszczy. W trawie – dosłownie. Da im trzydniowy termin, jeżeli się nie zdecydują, pójdzie sam. Właściwie, do czego są mu potrzebni? Nie chcą, to nie!

Było już zupełnie widno, kiedy Franek zmęczony zamknął oczy. Usnął od razu kamienym snem i nie słyszał ćwierkania wróbli, brzęku baniek od mleka ani terkotania budzika. Do jego świadomości dotarł dopiero głos matki:

– Franek, do szkoły! Wstań wreszcie! Rozejrzył się nieprzytomnie i wymamrotał:

– Mamo, jestem chory.

– Co cię boli?

– Nie wiem... Chyba... mam gorączkę.

– Ale boli cię coś?

– Głowa. Strasznie mnie boli głowa.

– Pokaż czoło. Jezus Maria, jakie ty masz, czerwone oczy! Krystyna, podaj termometr! W tej chwili zmierz temperaturę. A do szkoły dzisiaj nie pójdziesz.

Franek ostrożnie pocierał palcami czubek termometru, aż słupek rtęci wspiał się w górę i dojechał do trzydziestu siedmiu z kreskami. Stop, nie wolno przeholować!

Leżał w błogim nastroju i spoglądał na krzątającą się po mieszkaniu matkę. Nie miał wyrzutów sumienia. Chce przecież jak najlepiej. To dla niej. Dla niej i dla ojca nie idzie dzisiaj

do szkoły. Nie chce im robić przykrości. Jedna dwójka więcej czy mniej jemu osobiście nie sprawiłaby żadnej różnicy. I tak wszystko dogoni. Jeszcze tylko musi się zająć tym skarbem, a potem będzie siedział murem i odrabiał zaległości.

Matka nie pozwoliła Frankowi wstać. Przyniosła mu do łóżka miskę z gorącą wodą, mydło, ręcznik, kubek i szczotkę do zębów, lusterko i grzebień.

– Pomogę ci się umyć.

– Nie, nie, ja sam!

To na pewno nie jest w porządku, ale trudno. Trzeba do końca grać swoją rolę. Dlaczego wszystko wychodzi mu odwrotnie? Chciał jak najlepiej, a teraz czuje się, jakby zrobił coś bardzo złego. Matka i tak ma pełne ręce roboty. Franek wstydzi się. Mimo to zjada z apetytem śniadanie, które mama podała mu do łóżka na tacce.

Potem zastanawia się i dochodzi do wniosku, że o dwójce z klasówki matka nie musiałaby się przecież dowiedzieć.

– Mamo, czuję się znacznie lepiej. Chyba pójdę do szkoły.

– Jakże pójdziesz z gorączką?

– Bo ja wiem? Może termometr jest zepsuty albo źle patrzyliśmy?

– Leż, leż syneczku. Na szczęście ma się tobą kto opiekować.

Franek odwraca się do ściany. Tak bardzo chciałby powiedzieć matce prawdę. Ale jest już za późno. Krystyna wyszła przed dziesięcioma minutami, chociaż do szkoły ma dwa kroki. Franek w żadnym wypadku nie zdążyłby na ósmą. Ojca nie ma w domu. Dzisiaj pracuje w ciągu dnia.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – mówi matka. – Jeżeli do południa nie spadnie ci gorączka, trzeba będzie pójść po lekarza. Może wczoraj coś zjadłeś? Żołądek cię nie boli?

Matka kładzie rękę na czole Franka, a Franek chwyta ją i całuje.

– Właściwie, nic mnie nie boli, już jestem zdrowy.

– No, no. Z tobą tak zawsze. Poleż do południa, zobaczymy.

– Mamo, a może wypisałaś mi zwolnienie? Zdążyłbym jeszcze na третią lekcję.

– Nie ma o czym mówić. Poczytaj sobie książkę albo się prześpij. I tak wstajecie codziennie o siódmej rano. Zdązysz się w życiu napracować.

– Kochasz mnie? – pyta Franek.

– Co też ci przyszło do głowy? – matka śmieje się i głaszcze go po twarzy. – Dlaczego się o to pytasz? Czy może jestem niedobrą matką?

– Jesteś najlepszą matką, jaka tylko może być na świecie! – woła Franek.

– Przesadzasz, przesadzasz – broni się matka bez przekonania. – A od kogo kilka dni temu dostałeś w skórę? Taki duży chłopak. Powinieneś się wstydzić.

– Wstydzę się, słowo honoru, że się wstydzę! A ty i tak jesteś najlepszą matką.

– Nie mam czasu na flirty z tobą, koniu jeden. Muszę iść do miasta. Masz tutaj książkę, poczytaj sobie.

Gdy matka wróciła ze sklepu, Franek włożył gruby, wełniany szlafrok i poszedł do kuchni. Pani Fszystkonietak obierała ziemniaki i szykowała obiad.

– Mamo – zapytał Franek – jak to właściwie jest? Ty, ojciec, Krysia i ja jesteśmy rodziną, no nie?

– Co ci jest? Śmieszne pytanie.

– Ale czy my jesteśmy najbliższą rodziną?

– Oczywiście, że najbliższą. Co ci się stało? – matka aż odstawiła garnek.

– A czy bardziej kochałaś swoją rodzinę czy naszą rodzinę?

– Czym prędzej kładź się do łóżka i weź termometr! Ty przecież majaczysz! Co to znaczy: swoją czy naszą? Maszeruj do łóżka!

– Nie, mamo, nie rozumiesz mnie. Wcale nie mam gorączki. Pytam o twój dom, o dziadków, ciocię...

– Wiesz przecież, że już dawno nikogo nie mam. Babcię powinieneś jeszcze pamiętać.

Tak. Franek doskonale pamięta babcię. Kiedy umarła, miał raptem sześć lat, ale do dzisiaj ma przed oczami jej zgarbioną postać i dobrotliwy uśmiech. Dreptała drobnymi kroczkami po mieszkaniu, stawiając stopy ukośnie, palcami na zewnątrz. Miała bielusiętkie włosy, duże, spłowiałe oczy, a twarz tak pełną zmarszczek i bruzd, jakby spłynęły po niej setki strumyków. Pamięta też, jak babcia składała dłonie i puszczała na ścianę cienie zajaczka, wilka i kozy. „Nie płacz, wnusiu – mówiła – zaraz pokażę ci zajaczka”. I zajaczek kicał po ścianie, śmiesznie poruszając słuchami.

Potem babcia leżała w kaplicy i trzymała w tych dłoniach święty obrazek, a dookoła paliły się gromnice. Franek pocałował babcię na pożegnanie i przez całą noc płakał, chociaż nie bardzo wierzył, że to wszystko odbyło się naprawdę.

O babcię Franek nigdy nie byłby zazdrosny. To przecież była jego własna babcia i sam bardzo ją kochał. Ale ciocia?

– Mamo, a dlaczego u nas w domu nigdy się nie mówi o cioci? Nie kochałaś jej?

Matka ogarnęła palcami twarz, jakby strącała niewidzialną pajęczynę. Przez okno zaglądało błękitne niebo.

– Nie kochałaś jej? – nastawał Franek.

Matka popatrzyła na syna szklanym wzrokiem. Siedziała przez chwilę nieruchomo, później zgarbiła się i powiedziała bezbarwnie:

– Przecież to była moja jedyna siostra.

– Dlaczego nigdy mi o niej nie mówiłaś?

– W czasie powstania twoja ciocia była łączniczką. Piątego września dostała ciężki postrzał i zanieśliśmy ją z ojcem do prowizorycznego szpitala na ulicę Foksal.

– To w czasie powstania czynne były szpitale?

– Takie tam i szpitale... Cały budynek nabity rannymi. W każdej piwnicy po sto pięćdziesiąt, dwieście osób. Brak lekarstw, brak bandażu. Po kilku godzinach na zwykłym stole w zwyczajnej piwnicy zrobiono Marcie ciężką operację. Była w tym samym ubraniu, w którym codziennie chodziła po mieście. Tylko cud mógłby ją wyratować od śmierci... ale wtedy wszyscy jeszcze wierzyli w cuda. Ojciec wrócił po pościel. Dom był już zbombardowany, odwrót odcięty i nie spotkaliśmy się z ojcem aż do końca wojny. Później hitlerowcy podpalili pociskami szpital i sama nie wiem, w jaki sposób udało mi się zawlec Martę na kocu w głąb ogrodu. Leżała ranna pośród płomieni i obłąkanej strzelaniny, a ja biegałam i szukałam dla niej pomocy.

Matka westchnęła i zamyśliła się.

– Nad ranem budynek zajęli Niemcy i ewakuowali nas do szpitala na Płocką. Tamtejszy doktor zrobił Marcie zastrzyk, więc znowu nabrałam trochę otuchy. Pytam go, czy mogę mieć jakąkolwiek nadzieję. „Jest źle – mówi doktor. – Gdyby chociaż kawałek lodu!” – I bez nadziejnie machnął ręką.

„Więc umrze?” – pytam.

„Tak”

„Kiedy?”

„Jeszcze dzisiaj”.

Oparłam głowę o ścianę i zapłakałam. Ale tylko przez chwilę. Bałam się, żeby Marta nie poznała po mnie. Mimo to, kiedy wróciłam na salę, zawołała już z daleka:

„Helenko, co, ja umieram?”

Roześmiałam się:

„Ależ, Martuniu, co ty mówisz? Skąd ci to przyszło do głowy?”

„Przecież ty płaczesz” – powiedziała.

„No, płaczę, że jesteś taka chora”.

Od tej chwili aż do wieczora trzymałam się bez łez. Wachlowałam ją tylko i zmieniałam kompresy, chociaż były już zbyteczne. Potem poprosiła, żeby ją pożegnać i ciało jej zaczęło się nagle prężyć. A potem... no, cóż... potem już wolno mi było płakać.

I matka rozplakała się jak dziewczynka.

Franek całował ją po rękach.

– Mamuniu, nie płacz! Zobaczysz, ja ci to wszystko wynagrodzę!

Raptem zaczęła kipieć woda i matka skoczyła w stronę czajnika.

– Żebyś się tylko dobrze uczył. Przecież niczego więcej od ciebie nie chcę.

– Będę się uczyć. Przekonasz się!

– A teraz kładź się do łóżka i zmierz jeszcze raz gorączkę. Siedzisz tutaj w tym szlafroku...

Franek położył się i przez grzeczność wziął termometr, ale że nie spał prawie przez całą noc, teraz patrząc na zegar i słuchając miarowego tykania, usnął jak suseł.

Miał piękny sen. Śniło mu się, że są wakacje i że raz jeszcze spędza wspaniały, niezapomniany tydzień na bezludnej wyspie. Zresztą wyspa wcale nie była taka bezludna. Byli na niej we czterech. A było tak:

NA WYSPIE

Poprzedniego roku postanowili wybrać się na kajakach w górę Wisły i przez kilkanaście dni prowadzić campingowy tryb życia. Rodzice nie chcieli się na to zgodzić, ale szczęśliwy przypadek przyszedł chłopcom z pomocą. W najgorętszym momencie, kiedy odmowna decyzja wisiała na włosku i wydawało się, że nic jej nie zmieni, zjawił się narzeczony starszej siostry Antka, młody lekarz, który miał własną żaglówkę.

Rodzice zwrócili się do niego jak do wyroczni, przekonani, że jednym rozsądnym argumentem utraci całą imprezę. Ale Bogusław roześmiał się i powiedział beztrąsko:

– Świetnie się składa! Właśnie wybieram się w stronę Józefowa. Na środku Wisły są wyspki zarośnięte wikliną i można sobie zbudować szałas. Ludzi ani na lekarstwo. Oczywiście trzeba wziąć ze sobą śpiwory albo solidne koce, kocher, konserwy i pumpernikiel. Zawsze zresztą można podpłynąć do brzegu i dokupić coś z żywności. Co do ryzyka... no, oczywiście, jakieś ryzyko zawsze istnieje, ale w tym wypadku nie większe, niż gdyby się wybierali na jednodniową wycieczkę. Czy to mało razy widywałem ich aż za Wilanowem? Nie są już dziećmi. Zresztą będę na nich zwracał uwagę – i mrugnął ukradkiem do chłopców.

Wyłynęli na dwóch kajakach: Franek z Wieskiem, a Antek z Heńkiem. Włodka nie było, bo przed kilku dniami wyjechał na wakacje.

Bogusław holował ich kilka kilometrów, a gdy osądził, że przed wieczorem sami powinni zdążyć do celu, powiedział: „baj, baj”, odczepił hol i zniknął im z oczu. O zachodzie słońca dopłynęli do rozległej wyspy, porośniętej szuwarem i wikliną. Wyciągnęli kajaki i ustawili w ten sposób, aby nie zabrała ich fala. Z miejsca wzięli się do roboty.

Heniek przyrządził kolację, Wiesiek ścinał wiklinę, a Franek i Antek budowali szałas.

Po kolacji poszli w głąb wyspy na poszukiwanie Bogusława, nie mogli jednak trafić na ślad. Wrócili do szałasu, obiecując sobie wznowić poszukiwania nazajutrz rano.

Szałas były chwiejne. Za każdym podmuchem wiatru zataczały się i sprawiały wrażenie, że lada chwila zwałą się im na głowy. Wzmocnili je patykami i podpórkami, a dookoła usypali szaniec z piasku. Potem ustanowili warty: będą czuwać kolejno, po dwie godziny. Ostatni wartownik zrobi pobudkę.

Ciągnęli losy. Pierwszy miał wartę Franek, potem Heniek, Antek i Wiesiek. Dla obrony przed napaścią wartownicy mieli sobie przekazywać klubowy fiński nóż.

Franek siedział zasłuchany w ciszę. Nigdy nie myślał, że cisza może być tak zupełna. W domu, nawet wśród głuchoj nocy, słyszało się odgłosy ulicy, cykanie zegara i stłumioną wibrację murów. Cisza, którą tu spotkał, była całkiem odmienna – tępa, czarna jak przepaść i bezkresna jak pustynia. Zdawało mu się, że słyszy bicie własnego serca i szum krwi w skroniach. Równocześnie spłynął na niego taki spokój, jakiego nie zaznał nigdy przedtem.

Noc była bezwietrzna i krzewy nieruchomo tkwiły w mroku jak teatralne dekoracje.

Otulił się szczelnie kocem i na chwilę przymknął oczy. Tak. To teatr. Franek cichutko otwiera drzwi i zagląda za czarną kotarę. Grają „Cud na Powiślu”. Pod biały obrus na wigilijnym stole ojciec wkłada garstkę siana. „Cud na Powiślu”? A może to „Noc Wigilijna”? Wspomnienia zaczynają się zlewać w barwną mozaikę jak plamy kolorowych atramentów na szkolnej bibule. Zaraz, jak to było?

*Budzisz się na przykład w nocy,
A tu mówią ci, żeś król...*

Franek otwiera oczy i patrzy na zegarek. Upłynęło dokładnie cztery godziny. Kogo ma teraz obudzić? Heńka czy Antka? Obudził Heńka, a sam wsunął się do szafasu.

– Wstawać, śpiochy! Można by Was ukraść razem z całą wyspą! Prześpicie wakacje!
To Bogusław. Nocował na innej wyspie i tuż po śniadaniu odnalazł ich.

Wyspy i wysepki ciągnęły się wzdłuż Wisły ponad kilometr, połączone pasmami mielizn i płytkimi, złocistymi zatoczkami, których dna poznaczone były śladami wędrówek małży. Na końcu każdego śladu, jak na docelowej stacji mikrokolejki, tkwiła muszla-parowozik. Piasek na wyspach był gładziutki, nie skalany ludzką stopą i tylko przy brzegach, nasiąknięty wilgocią, zachowywał trójpalczaste wizytówki wodnego ptactwa.

– Ładna historia – powiedział Franek – to ja sam jeden przesiedziałem na warcie cztery godziny, a wy pospaliście się jak kundle.

– Nie moja wina – odparł Antek. – Dlaczego Heniek mnie nie obudził?

– Niby dlaczego ja? – zdziwił się Heniek. – Moja kolejka minęła. Jak Frankowi chciało się łązikować po nocy, to potem mógł obudzić kogo trzeba. Też pretensje!

– Coś ty właściwie robił tak długo? – spytał Wiesiek podejrzliwie.

– Nic takiego. Byłem tu umówiony z jedną syreną...

– Przestańcie się kłócić – przerwał Bogusław – to nie ma sensu. Popatrzcie, jaki piękny dzień. Żwawo, panowie, żwawo! Najpierw mycie, potem śniadanie.

I zaczął śpiewać, przesadnie akcentując głoskę „u”:

*Hej, na wczasy, zakonnicy à Pa-u-lo,
À Pa-u-lo zakonnicy, marsz!
Poprzez lasy, zakonnicy à Pa-u-lo,
À Pa-u-lo, ty patronie nasz!*

Śmiejąc się i potrącając, poszli za Bogusławem wprost do Wisły. A Bogusław śpiewał dalej:

*Najpierw razem marsz na trampo-line,
Czy kto stary z was, czy mło-o-dy!
Niechaj każdy zrobi zaraz dobrą mi-nę,
A potem siup, wprost do wo-o-dy!*

Pluskali się w płytkich, nagranych słońcem rozlewiskach. Woda wydawała się ciepła jak w wannie. Mycie zamieniło się w kąpiel, kąpiel w pływaniu, wyścigi i zbytki. Potem było śniadanie: gorąca kawa (wzięli ze sobą mleko w proszku i „Marago”), pumpernikiel, ser i owoce.

– Panowie, jedziemy do Józefowa? – spytał Wiesiek.

– A to po co?

– Warto by kupić świeżego pieczywa i coś do palenia.

Wiesiek już od roku palił papierosy. Nie można powiedzieć, żeby im to imponowało. Odnieśli się do projektu bez entuzjazmu. Każdy z nich podchodził do palenia na swój sposób.

Heniek miał dziwne napady: przez kilka dni kopał jak komin, a później przez tydzień lub dłużej na papierosy nie mógł patrzeć.

Franek nie miał określonego poglądu na tę sprawę: kilkakrotnie, dla fanfaronady i z pobudek czysto koleżeńskich, palił razem w Wieśkiem. Częściej jednak odmawiał. Tłumaczył, że

jest za mądry na to, żeby wpaść „w szpony nałogu” i że „kawałek śmierdzenia” nie będzie nim rządził. Nie oburzał się jednak na tych, którzy palili. Wolna wola: chcesz, to się truj!

Włodek i Antek byli zdecydowanymi wrogami papierosów.

Antek patrzył z punktu widzenia medycyny: „Czy wiecie, że kropla nikotyny wylana na skórę królika zabija go na miejscu?” Wiesiek uśmiechał się. Bardzo lubił słuchać o tym króliku. Imponowało mu, że igra z tak niebezpieczną trucizną.

Włodek był wrogiem papierosów z przekonania: ilekroć wpadł w jego ręce papieros Wieska, dał w niego jak w trąbę, wydmuchując chmury dymu. Potem zwracał Wieskowi niedopałek i mówił z miną bohatera: „Będziesz mi kiedyś wdzięczny. Przedłużyłem o minutę twoje życie!”

Teraz, kiedy Włodek był daleko, Wiesiek czuł się bezpieczny.

– Palicie? – zapytał Bogusław na pozór obojętnie.

– Jasne – rzekł Wiesiek.

– Jak kiedy – dodali Franek i Heniek.

Antek zaprzeczył żywo, żeby przypadkiem Bogusław nie pomyślał, że i on z tych, co palą:

– Mówiłem im już nieraz, że kropla nikotyny wylana na skórę królika zabija go na miejscu.

– I po co to wylewać? – spytał Wiesiek. – Szkoda nikotyny.

Bogusław strzepnął z siebie piasek i powiedział ze sztuczną powagą:

– Nikotyna jest tak silną trucizną, że podana psu na czubku noża zabija człowieka. Parsknęli śmiechem, a Franek zaraz wyrecytował

*Lychna-Ben-Zadek, droga psino,
Nie tykaj noży z nikotyną!*

– Nie ma się z czego śmiać – obraził się Antek

Bogusław poparł go:

– Żarty żartami, a papierosy skracają życie.

– Mówi się, że papieros skraca życie – powiedział Franek. – Ja się z tym nie zgadzam. Nikt przecież tego udowodnić nie potrafi.

Bogusław słuchał z wyraźnym zainteresowaniem a Franek ciągnął dalej:

– Gdyby jakiś lekarz mógł powiedzieć pacjentowi: „Pan będzie żył 83 i pół roku”, a pacjent żyłby tylko 82 lata i ćwierć, wtedy doktor mógłby stwierdzić: „Człowiek ten żył o rok i trzy miesiące krócej niż powinien, a to dlatego, że palił papierosy”. Tymczasem żaden doktor na świecie nie może tak powiedzieć z tej prostej przyczyny, że żaden nie wie, ile lat życia ma kto przed sobą. Jedni, w dodatku ci palący, żyją po 90 lat, a inni, ci niepalący, tylko 40. Nie mówię o tym, że komuś spadła cegła na głowę, tylko w ogóle.

– Rozumujesz bardzo logicznie, ale mimo wszystko nie masz racji. Oczywiście, nikt nie umie z matematyczną dokładnością przewidzieć długości życia i w tym punkcie się z tobą zgadzam. Istnieją jednak dwa argumenty, które przemawiają na korzyść medycyny. Po pierwsze – sekcja. Robimy sekcję i stwierdzamy, że zgon nastąpił wskutek takiej to a takiej choroby, która powstała z takich i takich przyczyn, na przykład z nadmiaru nikotyny. I wtedy z całą pewnością możemy orzec, że gdyby nie przyczyna, w konkretnym wypadku papierosy, to pacjent mógłby jeszcze pożyć ładne kilka lat. Po wtóre – statystyka. Statystyka informuje nas, że przeciętnie palacze żyją krócej od tych, którzy nie palą. I to już nie są przypuszczenia, to są niezbite fakty. Ale jeśli ktoś chce zapalić, proszę bardzo – i Bogusław wyciągnął z szortów papierosnicę.

– Ja nie palę – powiedział Franek – ale żebym był w stu procentach przekonany, to też nie powiem.

– A ja jestem przekonany w stu procentach, lecz mimo to... – i Bogusław zaciągnął się.

Później żeglowali wśród archipelagu wysepek i przez cały dzień moczyli się w wodzie. Pogodę mieli nad wyraz piękną. Wysoki, czysty strop nieba i jak okiem sięgnąć ani jednej chmurki.

Noce były równie pogodne, a przed chłodem zabezpieczyli się w prosty sposób: nacięli sporo młodych pędów wikliny, które po wyschnięciu na słońcu były znakomitą ściółką. Szalasy wzmocnili, a warty po namyśle skasowali, bo nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Dwukrotnie byli w Józefowie, żeby uzupełnić zapasy.

Całymi dniami szwendali się po wysepkach i rozlewiskach, pływali i kajakowali, pichcili na kocherach i prowadzili długie rozmowy. Żałowali tylko, że nie ma z nimi Bambuły.

Po tygodniu wrócili smagli jak Cyganie, rozradowani i pełni energii.

PRZEBUDZENIE

- Teraz Franek przeciera oczy, ale wciąż jeszcze jest pod wrażeniem tamtych wspaniałych dni.
- No, widzisz syneczku – mówi matka – a jednak nie jesteś zupełnie zdrowy. Spałeś blisko cztery godziny. Za chwilę będzie obiad.
 - Wiesz co, mamó – przyznaje się Franek – przez całą dzisiejszą noc nie zmrużyłem oka. Poza tym jestem zupełnie zdrowy.
 - Ale, ale – powątpiewa matka.
- Franek po raz trzeci mierzy dzisiaj temperaturę. Ma równe 37. Matka przestaje się niepokoić. Franek ma zawsze 37. Jest zdrowy...
- Po południu telefon. Dzwoni Godlewski. Klasówkę przełożono na inny dzień. Zachorował matematyk. Zastępstwa nie było. Mieli wolną godzinę i grali na boisku w koszykówkę.
- Jak pech, to pech!
- Słuchaj – przypomina Franek. – Muszę z wami koniecznie pogadać.
 - O czym?
 - Nie kapujesz? – denerwuje się Franek. Nie może przecież tego powiedzieć przez telefon.
- Na temat tego drażka...
- Jakiego drażka?
 - O Jezuu, jakiś ty tępy! No, tam na polu, koło nasypu.
 - Aha – mówi Godlewski – trzeba było od razu tak gadać.
 - Kiedy idziemy?
 - Się zobaczy.
 - Nie: się zobaczy, tylko trzeba to załatwić. Szkoda czasu.
 - No, dobra! Pogadamy jutro w budzie. Ciao !
- Potem przyszedł Włodek. Jest świetny film, Western. Nie warto chorować.
- Wcale nie jestem chory – mówi Franek, ubierając się.
 - Co to, już wyzdrowiałeś? – dziwi się Krystyna. – A ty byś pewnie chciała, żebym całe życie przeleżał w łóżku?
 - Nie, dlaczego? – i kiedy pani Fszystkonietak znika w kuchni, pyta szeptem: – Klasówka?
 - Uhm.
 - Tak się domyślałam.
- Po obiedzie Włodek nawiązuje do westernu.
- Czy to daleko? – pyta mama.
 - Skąd? Tutaj obok.
 - A na bilety macie?
- Włodek sapie i rozgląda się, jakby oczekiwał pomocy z nieba.
- Tu, gdzieś... – mówi i zaczyna grzebać w kieszeniach.
- Pani Fszystkonietak daje Frankowi pieniądze.
- I zapłać za Włodzia, bo zdaje się, że zapomniał.
 - To jest... tak... chyba w drugiej marynarce. Włodek nie ma drugiej marynarki. Ma tylko swetry i wiatrówkę, ale wiatrówka jest bez kieszeni i pani Fszystkonietak doskonale o tym pamięta. Nie dalej, jak przedwczoraj, poprawiała mu suwak, który się zaciął.

– Mamusiu, a czy potem możemy pójść na lody?

– Na lody nie. W każdym razie nie dzisiaj. Rano miałaś gorączkę.

Kiedy już są na schodach, woła:

– Franek!

Franek wbiega na górę.

– Masz jeszcze pięć złotych, kupcie sobie po ciastku.

Franek dziękuje i rusza do drzwi, ale znowu słyszy głos matki:

– Czekaj! Masz jeszcze pięć złotych, przecież nie można chodzić bez grosza. Trzeba mieć przy sobie chociaż na szklanek wody, jakby się któremu słabo zrobiło albo co. I uważaj na siebie. Popraw szalik.

– Masz fajnych rodziców – mówi marząco Włodek, kiedy już są na ulicy. – Idziemy na lody?

Franek potrząsa przecząco głową.

– Nie, bambino. D z i s i a j na lody nie idę. Tobie mogę zafundować, proszę bardzo. For-sa na szczęście jest.

MARYCHNA

Zgodnie z postanowieniem Franek przed rozpoczęciem lekcji odwołał na bok Maksą i Godlewskiego.

– Nie ma co zwlekać – powiedział. – Jeżeli nie chcemy, żeby skarb ktoś sprzątnął nam sprzed nosa, musimy prędko działać. Jeszcze dzisiaj trzeba się wybrać na poszukiwania.

– Dzisiaj nie mogę – zastrzegł się Maks – i jutro też. Może pojutrze?

– Z wami to tak zawsze: dzisiaj telewizor, jutro klasówka, pojutrze znowu co innego.

– Jak byś wiedział – wtrącił Godlewski. – Pojutrze nie ma mowy.

– A co będzie pojutrze? – zapytał Franek wściekły. – Koklusz? Trzęsienie ziemi?

– Skąd znowu? – uspokoił go Godlewski. – Pojutrze będzie sobota.

– Zwróciłbym ci namacalną uwagę... Więc co z tego, że sobota?

– Imieniny matki. Przyjęcie, goście... kapujesz?

– Myślałby kto! To ci dopiero honorowy gość! Będą czekać na ciebie z orkiestrą dętą. Droga wysypana kwiatami, a na końcu delegacja z chlebem i solą.

– Ciekaw jestem, co byś zrobił na moim miejscu?

– Jak to: co? Matka i tak widuje cię codziennie. Co dla niej za różnica, czy przyjdiesz o godzinę wcześniej, czy później?

– Ty tego nie rozumiesz. Muszę się zająć młodszą siostrą i różne takie. Myślisz, że nie wolałbym z tym skończyć? O rany, jak mi potrzebna forsa!

– Na co ci forsa? – zdziwił się Franek. – Żebyś był w mojej sytuacji, dopiero byś się przekonał.

– Racja – poparł go Maks i z najpoważniejszą miną dodał: – Co ty możesz wiedzieć o pieniądzach, dzieciaku? Franek, to dopiero: rodzina na utrzymaniu, ubodzy krewni, inwestycje społeczne...

– Mogę wam powiedzieć tylko jedno – przerwał Franek – jeżeli nie pójdziecie w tym tygodniu, nie będę was więcej prosić. Pójdę sam.

– Wolnego – rzekł Maks. – A od kogo się dowiedziałeś o skarbie? Gdyby nie ja, figę byś wiedział.

– A jeżeli go wykopie ktoś obcy, to sam będziesz miał z tego figę.

– Czego się gorączkujesz? – spytał Godlewski. – Maks ma swoją rację, ty swoją, ale możesz kilka dni zaczekać. Nie pali się, pójdziemy w przyszłym tygodniu.

– Dobra. Tylko uprzedzam, jeżeli dla was ważniejsze jest co innego, to pójdę sam. Najwyżej mogę wam dać po dziesięć procent.

– Mało – powiedział Maks. – Dajesz po trzydzieści procent i możesz iść sam.

– Mów mi: kiciu. Myśli, że znalazł frajera!

– Znowu zaczynacie – rzekł Godlewski. – Idziemy w przyszłym tygodniu i nie ma o czym gadać. Stoi?

Podali sobie ręce, przecięli i weszli do klasy.

Lekcja upłynęła bez większych przygód. Wprawdzie Franka wołano do tablicy, ale pytanie było śmiesznie łatwe i bez trudu się wywinał. Gryl usiłował mu podpowiadać, zresztą fałszy-

wie, lecz widząc, że Franek nie zwraca na to uwagi, dał spokój. Profesor postawił Frankowi czwórkę, co było u niego rzadkim zjawiskiem, a nawet dodał:

– Z ciebie Fszystkonietak jest bardzo zdolna bestia. Żebyś ty się jeszcze chciał uczyć, na pewno wykierowałbyś się na ludzi.

Profesor od historii był surowy i pedantyczny. Nazywali go: Minoga. O przydomku zdecydował zwykły przypadek.

Kiedyś na korytarzu jeden z chłopców niechcący nadepnął historykowi na nogę i historyk zawołał oburzony:

– Uważaj, jak chodzisz! Nie depcz m i n o g i!

Po tym sukcesie spotkała jednak Franka drobna nieprzyjemność. Wielu chłopców w klasie zbierało etykiety zapalczanych pudełek. Później je wymieniali, żeby skompletować kolekcję. Kiedyś ktoś wpadł na pomysł: po co mamy wymieniać? Lepiej zagrajmy. Kładło się etykietkę na dłoni i uderzało dłonią o ławkę. Kto swoim obrazkiem przykrył obrazek partnera ten wygrywał.

Nalepki – nalepkami, Franek nigdy nie miał kolekcjonerskich skłonności, nieszczęście chciało, że wpadł na pomysł pokrewny tej zabawie. Są przecież temperówki do strugania ołówków, a w temperówkach są żyletki. Żyletki często się łamią. Dlaczego by nie zagrać w żyletki?

Trzeba trafu, że kilka dni temu jeden z kolegów ojca dał mu w prezencie duże pudełko używanych żyletek. Było tego kilkaset sztuk.

Franek nie miał szczęścia w grze – moda przyjęła się i wkrótce coraz więcej żyletek krążyło po szkole.

Chłopcy coraz częściej chodzili z pokaleczonymi rękami. Na zeszytach i książkach widniały rude plamy. Początkowo pan Bielewicz nie mógł się domyślić, co jest przyczyną takiego stanu i dlaczego w umywalni jest zawsze tłok. Dziś jednak przyłapał na gorącym uczynku kilku chłopców, wśród nich był także i Gryl. Akurat rozgrywali pułę.

– Co wy tu robicie? – zapytał wychowawca. A potem do Gryla: – Natychmiast idź do gabinetu lekarskiego i poproś panią, żeby ci zajodnowała palec.

Dopiero wtedy Gryl spostrzegł, że z ręki cieknie mu krew, i okropnie się przeraził. Z miejsca zaczął płakać.

– Wstydziliś się – powiedział pan Bielewicz – do wesela się zgoi. Trzeba się było wcześniej zastanowić. Skąd macie te żyletki?

– Bo Fszystkonietak przyniósł do szkoły takie wielkie pudło – wypaplał Gryl. – Wszystko przez niego

– Najwyższy czas nauczyć się myśleć samodzielnie. Nie jesteś już maluchem. A Fszystkonietak niech przyjdzie do mnie do pokoju.

Franek akurat przechodził korytarzem i napatoczył się na wychowawcę.

– Fszystkonietak, cóż to za nowe kawały?

– Jakie kawały, panie profesorze? Nic nie wiem – odparł Franek.

– Pokaż ręce – powiedział pan Bielewicz i Franek wyciągnął dłonie, które wyglądały jak pole po wiosennej orce.

– Ach! – Franek lekceważąco wzruszył ramionami. Nie przyszło mu do głowy, że niewinna jego zdaniem zabawa jest jakimś wykroczeniem. – Już mam takiego pecha!

– Spójrz na Gryla – rzekł pan Bielewicz. – Chyba nie zaprzeczysz, że to przez ciebie? Wiem, że przyniosłeś do szkoły pudełko żyletek.

– Właśnie mówię, że mam takiego pecha – powiedział Franek w najlepszej wierze. – Przyniosłem kilkaset sztuk i wszystkie przegrałem. Nawet nie mam się czym odegrać.

– Z twojej winy wszyscy uczniowie chodzą pokaleczeni. Na dobrą sprawę powinienem cię odeśłać do domu. Jeżeli się dowiem, że nie zaprzestałeś tej rzeźnickiej zabawy, będziesz ty się miał z pyszna! Proszę sobie zostawić jedną żyletkę w temperówce i nie chcę o tym więcej słyszeć.

Tego dnia Franek wyszedł ze szkoły razem z Marychną. Od pamiętnego spaceru poprzez cmentarz już kilkakrotnie odprowadzał ją do domu. No, może „odprowadzał” to powiedziane trochę za dużo. Ot, po prostu szli razem aż do wiaduktu, potem Marychna skręcała w lewo, a Franek wsiadał do tramwaju. Przez cmentarz więcej nie chodzili, tylko aleją, wzdłuż szyn, ponieważ było trochę dalej. Czasem nawet nie rozmawiali, a jednak nie nudzili się ze sobą. Dzisiaj mieli kilka tematów.

– Dlaczego on się mnie stale czepia? – pytał Franek.

– Mówisz o Filutku?

– A o kim? Nie podoba mu się, że przegrałem wszystkie żyletki. Co go to obchodzi? Przecież mi ich nie dał? Pretensja do garbatego, że ma proste dzieci.

– Jemu nie o to idzie, że przegrałeś, tylko że w ogóle je przyniosłeś.

– Gdybym miał szczęście, do tej pory nikt nie miałby już ani jednej żyletki i nie byłoby w co grać. Więc wychodzi na to, że ma do mnie pretensję nie o żyletki, tylko o to, że przegrałem.

Marychna nie znalazła argumentu i rozmowa urwała się.

– Pisziesz jeszcze wiersze? – spytał Franek po chwili.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie umiem.

– No, wiesz? Przecież to żadna sztuka! Trzeba się tylko zastanowić.

– Zastanawiałam się, ale nie wychodzi.

– Widocznie masz do wierszy takiego pecha, jak ja do Filutka. Co robisz w niedzielę?

– W niedzielę? – Marychna chciała zyskać na czasie.

– No, tak, w niedzielę – nastawał Franek.

– A dlaczego się pytasz?

– Czy twoi starzy wciąż jeszcze łążą na tę zebrania?

– Chodzą... Nie zawsze.

– A w niedzielę?

– W niedzielę raczej nie. Czasami na brydża.

– To klawo! – ucieszył się Franek.

– Dlaczego? – zdziwiła się Marychna.

– Bo w niedzielę chciałem cię zabrać na kajak.

– Mnie?

– Uhm. Oczywiście, jeżeli będzie pogoda, ale chyba będzie. Lubisz jeździć kajakiem?

– Nie wiem. Jeszcze nie jeździłam.

– Ale pływać chyba umiesz?

– Trochę. Kiedyś się uczyłam na pływalni. A potem byłam z mamą nad morzem i też czasem pływałam. Ale wolę na basenie.

– Ja tam wolę w morzu. Takie fajne fale. Jeździ się jak na huśtawce.

– Trzeba umieć. Ja na falach nie umiem. Zawsze się nałykam wody. Brr...

– Pewnie, że trzeba umieć, ale to żadna sztuka. Można się łatwo nauczyć. No więc, przyjdiesz?

– Nie wiem, czy mama mnie puści...

– Powiedz, że idziesz do zoo albo zasuń jakąś bombę.

– Bo ja wiem...

– A chciałabyś pojechać?

– Pewnie, że bym chciała, ale... nigdy w życiu nie wiosłowałam.

– Phi! A po co byś miała wiosłować? Usiądziesz z przodu i klawo. Sam będę wiosłował. Myślisz, że nie dam rady? Możemy pojechać aż do Wilanowa. No, co, jedziesz?

– Spróbuję.

– Nie: spróbuję, tylko na beton. Będzie jeden mój przyjaciel, Antek. Też ma własny kajak. Pojedziemy razem, możesz się nie bać. Mój grat wcale nie jest wywrotny. Chyba, żeby kto chciał specjalnie, ale ty nie chcesz. To co, pojedziesz?

– Franek, jaki ty jesteś dziwny. Mówię ci przecież, że się postaram. Jeżeli mama mnie puści, na pewno przyjdę.

– Zawsze coś tam wykombinujesz. Dla chcącego nie ma nic trudnego.

– A o której?

– Jak najraniej. O dziewiątej. Możesz?

– Tak wcześniej?

– Szkoda słońca. Zanim się wygrzebiemy...

– No, dobrze, jeżeli w ogóle będę mogła, to o dziewiątej. Tylko gdzie?

– Najlepiej na przystani. Trafisz sama? Albo możemy się spotkać gdzieś na mieście. Najlepiej na moście Poniatowskiego, po stronie Pragi. Zresztą mamy jeszcze czas. Zdamy się umówić.

– W szkole wolałabym się nie umawiać. Potem będą się śmiać.

– Niech się śmieją... Masz rację, umówmy się od razu.

– Więc o dziewiątej, na moście Poniatowskiego, z mojej strony.

– Byczo! Tylko pamiętaj!

– Coś wymyślę. Leć, masz tramwaj.

– To cześć! – I Franek pobiegł do tramwaju.

Wieczorem spotkali się z Antkiem.

– Serwus, Antek! Jak tam wypracowanie z polskiego?

– Nie wygłupiaj się! Widziałeś Bambułę?

– Pojechał z Heńkiem docierać motor. Ale, ale – mam do ciebie ważną sprawę.

– Mianowicie?

– Idziesz w niedzielę na kajak?

– A jak będzie padało?

– Nie ma prawa – powiedział Franek. – Umówiłem się z jedną dziewczyną.

– Żartujesz?

– Słowo daję! Koleżanka.

– Fajna jakaś?

– Mówię ci przecież: koleżanka. Jakby nie była fajna, to bym się z nią nie umawiał. Z mojej klasy, ale równa dziewczyna. Zobaczysz.

– Jeżeli przyjdzie...

– Powinna przyjść. Matka trochę grymasi, ale jakoś da radę.

– No, no – powiedział Antek i pokiwał głową. – Ładnie się zaczyna. Oglądasz się za spódniczkami.

– Co się mam oglądać? Pojedziemy razem. Właśnie po to do ciebie przyszedłem. Będziesz miał czas?

– Zrobi się.

– Zobaczysz, jaka morowa dziewczyna. Zupełnie, jak chłopak! Pomyślałem sobie: dlaczego nie mielibyśmy zabrać jej ze sobą, no nie?

– Przeszkadzać nie będzie. Jeżeli, to tobie. Ja tam jadę sam. Po co się męczyć?

– Eee, tam! Lecę! Muszę jeszcze zajrzeć do teatru!

– Uważaj, żebyś nie został gwiazdą, bo doprawimy ci ogon i zamienisz się w kometę.

– Nie ma obawy! Do gwiazdy jest mi równie daleko jak do gwiazdy – i wskazał palcem na ciemniejące niebo.

PONĘTNA PROPOZYCJA

Kostiumernia mieściła się na prawo od schodów. Wchodziło się do niej przez duży pokój, w którym panował wieczny nieład. Wielkie, nadłuczone lustro potęgowało jeszcze wrażenie bałaganu, odbijając części zniszczonych rekwizytów, stare, pozbawione denek pudła od kapeluszy, arkusze zmiętej tektury, krzesło bez nogi i siedzenia... rzeczy nikomu niepotrzebne.

Za to za drugimi drzwiami królował idealny porządek. Długa sala zastawiona była równymi rzędami wieszadeł, na których wisiały najróżnorodniejsze kostiumy. Mimo wielkości sali było w niej ciasno. Różnorodność i ilość kostiumów zdumiewała nawet wytrawnych znawców: wąskie spodnie kawalerów z epoki romantyzmu, rajtuzy napoleońskiej gwardii, krynoliny i mantyle, góralskie guńki i sukmany, krakowskie serdaki nabijane paciorkami i łowickie pasiaki, rzymskie togi, szlacheckie kontusze i żupany, chłopskie siermięgi, fraki i kubraki, „sobole” i „gronostaje” wisiały zgodnie, błyszcząc śnieżnobiałymi płatkami sypkiej naftaliny.

Na półkach stały stosy kapeluszy, czapek, mycek, beretów, cylindrów i meloników, a pod półkami, wzdłuż ścian, leżało obuwie; buty, kamasze, kierpce, sandały, lakierki, trepy, czółenka, mokasyny, cizemki, baletki, sztylpy, bambosze, kapce, saboty, łapcie, trampki, saperki i kalosze – wszystko, w co może być obuta ludzka noga.

Na ścianach wisiały sznury koralu, wstążki, diademy i welony. Nieco dalej – pasy z szablami, miecze, topory, jatagany i karabele. W osobnej szafie broń palna: dwururki, gwintówki, rusznice, pistolety, krucice, muszkiety i wszelkie inne samopały. W specjalnych stojakach tkwiły szpady, rapiery, florety, halabardy, lance, piki, dziiryty, spisy, włócznie, dzidy i oszczepy. Obok w gablocie spoczywały bagnety, sztylety, kordelasy, mizerykordie, kindżały i zwykłe fińskie noże.

Kostiumowy z łatwością odnajdywał potrzebne stroje i rekwizyty. Wszystko miało u niego swój numer i zaszeregowane było pod odpowiednią rubryką w katalogu. Miał śniadą cerę i smukłą jak panna sylwetkę. Z natury milczący, przebywał najchętniej z powierzonymi jego pieczy skarbami. Milczenie było tą cechą, która Franka i innych chłopców najbardziej od niego odstręczała. Wydawał im się bardzo srogą. Ale kostiumowy nie był srogą. Niekiedy okazywał się nawet miękki. Na prośby chłopców dawał im z rekwizytowni florety i maski ochronne, żeby się mogli uczyć fechtunku. Wtedy przyległy pokój rozbrzmiewał hałasem i szczękiem stali. Kostiumowy i kostiumernia stanowili zamkniętą, oderwaną od świata całość.

W odróżnieniu od kostiumowego, do którego odnosili się z rezerwą, na terenie teatru mieli chłopcy wielkiego przyjaciela w osobie asystenta reżysera, pana Leona. Był ich wielkim przyjacielem nie tylko w przenośni: miał coś ponad dwa metry wzrostu. Pan Leon zachowywał się tak, jak gdyby był ich kolegą.

Oczywiście, nieraz powściągał zapały chłopców i udzielał wskazówek, ale to niczego nie zmienia. Zresztą musiał im czasem zwracać uwagę, bo pełnił także funkcje administracyjne. Zajmował się prawie wszystkim i prawie zawsze można go było spotkać w teatrze.

Pewnego dnia, ze względu na remont gmachu, próby zostały przeniesione do wielkiej, drewnianej szopy nad Wisłą. Chłopcy nie wiedzieli, gdzie to jest i pan Leon postanowił zaprowadzić ich osobiście. Ustawił wszystkich gęsiego, w kolejności od najmniejszego do największego, a sam stanął na czele. Tak więc za dwumetrowym panem Leonem szedł Franek,

za Frankiem Wiesiek, Włodek i coraz wyżsi. Franek, czując komizm sytuacji, zaczął małpować chód pana Leona i wszystkie jego ruchy. Inni natychmiast to podchwycili. Pan Leon odwrócił się i pogroził. Chłopcy też. Pan Leon przeszedł na drugą stronę ulicy, ale chłopcy ruszyli za nim. Przechodzili tak kilka razy, tamując ruch uliczny, potem okrążali ludzi, obchodzili dookoła latarnie, wchodzili i wychodzili ze sklepów, biegli, podskakiwali i kucali. Wyglądało to tak, jakby pan Leon miał przypięty długi ogon i jakby wszyscy razem byli anormalni. Ludzie przystawali na ulicach, a milicjanci kiwali tylko głowami. Wreszcie pan Leon próbował zwyczajnie uciec, ale i to na nic się nie zdało.

Po forsownym biegu zatrzymał się przy kiosku i wypił butelkę oranżady. W ciągu kilku minut wypili wszystko, co tylko było do wypicia, a sprzedawca zacierał ręce z zadowolenia.

I wtedy stało się coś, co mógł zrobić tylko pan Leon. Wziął się pod boki, popatrzył na nich i kupił kilo cukierków.

Chłopcy poddali się. Pan Leon nie był mściwy.

Dzisiejsza próba miała trwać krótko. Franek zauważył, że na widowni siedzi kilka osób, ale nie bardzo się tym przejął. Cóż, zdarza się.

Po próbie dwóch panów weszło na scenę i zapytało go, czy chciałby grać w filmie. O czymś takim nigdy dotąd nie myślał i teraz nie umiał dać odpowiedzi. Zdziwił się. Panowie zdziwili się znacznie bardziej niż on. Widocznie sądzili, że zaraz zaczną skakać z radości.

Może by Franek i podskoczył, ale przypomniał sobie matkę i złe stopnie w szkole. A tu, jak na ironię, jeden z tych panów mówi:

– Uczysz się chyba dobrze?

– Dobrze, dziękuję – odpowiedział Franek.

– A rodzice? Czy...

– Dziękuję bardzo, zdrowi.

– To całe szczęście, bo chcemy ich zapytać, czy pozwoliliby ci grać w filmie.

– Chyba tak.

– Zresztą jeszcze nie wiadomo, co z tego wyjdzie. Na scenie możesz być bardzo dobry, a do filmu możesz się nie nadawać. Trzeba zrobić próbne zdjęcia, nagrania mikrofonowe. Powiedz: chrzciciel.

– Chrzciciel.

– A: świszczący chrząszcz.

– Świszczący chrząszcz.

– A: jabłko, bułka, jabłko.

Franek i to powtórzył. Panowie popatrzyli na siebie i jeden z nich mruknął:

– Chyba tak. Trzeba się będzie porozumieć z rodzicami.

Potem zwrócili się do Franka:

– Rola nie jest wielka. Epizod, ale o dużym znaczeniu. Czy masz w domu telefon?

Franek podał swój numer.

– Lekcje już odrobiłeś?

Na stole leżały formy wycięte z gazet, a matka nawlekała igłę.

– Nawłokę ci – i Franek wyjął mamie igłę z ręki.

Niedawno ojciec kupił matce w prezencie materiał na sukienkę. Jak zwykle w takich rzeczach, matka najpierw grymasiła, że bez porozumienia i że w jaki sposób ojciec może wiedzieć, co jej potrzebne – nie zna się przecież na damskiej modzie – potem długo oglądała materiał i coraz bardziej promieniała, wreszcie dziękowała i dziwiła się, skąd ojciec ma taki dobry gust. Na koniec całowała ojca i przymierzała materiał przed lustrem. Zastanawiała się, jaką też sobie uszyć suknię, radziła się znajomych i pożyczala żurnale. Kiedy się już nacieszyła prezentem, szła z materiału sukienkę dla Krystyny.

Tak było właśnie w tej chwili. Matka siedziała przy stole i fastrygowała. Franek oddał jej igłę z nawleczoną nitką i powiedział:

– Mamo, jesteś f a s t r y g u j ą c ą kobietą!
– Odrobiłeś na jutro lekcje?
– Co z ciebie za kobieta, jeżeli nie chcesz wysłuchać komplementu? Mówię ci, że jestem tobą bez reszty z a f a s t r y g o w a n y!

Matka uśmiechnęła się.

– Jak tam w szkole?

– Nic nadzwyczajnego. Za to w teatrze!

I Franek powtórzył matce rozmowę z filmowcami. Przekonywał ją, że to malutka rola, że zupełnie mu nie zabierze czasu i że można zarobić furę pieniędzy.

– Ci panowie mają do ciebie zadzwonić – dodał.

– Sama nie wiem, czy ci pozwolić. Przecież zbliża się koniec roku szkolnego – opierała się matka. – Gdybyś się dobrze uczył, co innego. A tak?

– Mamo, zobaczysz, poprawię wszystkie stopnie. Mamo, błagam cię! Pozwól.

– Muszę się porozumieć z ojcem. Sama nie mogę decydować.

Jeżeli matka mówi: „muszę się porozumieć z ojcem”, znaczy, że się zgadza, a jeżeli matka się zgadza, to sprawa załatwiona.

Ojciec z zasady nigdy się matce nie sprzeciwiał i wszystkie jej posunięcia uważał za najlepsze. Nigdy jeszcze tak nie było, żeby coś skrytykował albo na coś narzekał. Obiad jest najsmaczniejszy, letnisko wybrane w doskonałym punkcie, suknie Krystyny leżą jak ulał, koszule wyprasowane idealnie gładko, a dom jest prowadzony wzorowo. No, z tymi pieniędzmi, to trochę ich za dużo wychodzi i naprawdę nie wiadomo skąd je brać. Może się jednak uda złapać jakieś nadgodziny. Grunt to nie tracić ducha. Kiedy człowiek jest pogodny, wszystko łatwiej znosi i znacznie lepiej mu się pracuje. „Prawda, Helenko?”

Matka była tego samego zdania, tylko jak tu nie narzekać, kiedy z Franka zlatuje ostatnie ubranie, buty znowu trzeba zanieść do szewca (parszywą skórę przybijają ostatnio), ojciec chodzi jak dziad, ona sama jak dziadówka, a o Krystynie nawet nie ma co mówić. A tu jak na złość znowu obciąli ojcu premię. I jak można mieć humor, kiedy wszystko się wali?

Chociaż było już późno, Franek przed pójściem do łóżka wyjątkowo starannie odrobił wszystkie lekcje. Tak się rozpędził, że z historii przeczytał dwie strony naprzód.

Krystyna przewracała się na łóżku i jęczała przez sen. To dziwne, że Krystyna tak często biadoli we śnie. W ciągu dnia jest zazwyczaj wesoła i z usposobienia przypomina ojca. Wszyscy ją lubią. Jeszcze ani razu nie pokłóciła się z żadną z koleżanek. Ba, nawet koledzy Franka uważają ją za kumpla, chociaż jest starsza nawet od Wieśka i Heńka. W tym roku kończy maturę, a jednak świetnie umie się do nich dostosować. Franek skoczyłby za nią w ogień. Mimo to czasami dochodzi między nimi do nieporozumień i awantur.

Teraz Krystyna leży i jęczy.

„Dlaczego ona tak jęczy? – myśli Franek. – Może ją obudzić? Może jej się śni coś złego?”

Nie chciałby, żeby Krystynie nawet przez sen działa się jakakolwiek krzywda. Z drugiej strony, kto jak kto, ale Kryśka nie ma chyba powodów do zmartwień. Kryśka dobrze się uczy, w tym roku kończy szkołę, jest ładna i na ulicy oglądają się za nią chłopcy. Nie to, co on, taki malutki. Jak Kryśka idzie z nim na basen, to aż mu głupio. Kryśka doskonale pływa, świetnie skacze z trampoliny i z wieży. Ma nawet efektowne fotosy „w locie”. W ogóle Kryśce byłoby czego zazdrościć. W szkole uczy się francuskiego. Franek nigdy nie widział, żeby zaglądała do jego podręczników, a nie tak dawno okazało się, że Kryśka zna i niemiecki niewiele gorzej niż on. Jedyne przedmiot, z którego był taki dumny! Ojciec obiecał, że jak Kryśka skończy maturę, to bardzo prędko nauczy ją po angielsku. Ojciec zna pięć obcych języków, Kryśka już prawie trzy.

Dlaczego Krystyna wciąż jęczy? Potrząsnął ją za ramię, zgasił lampę i położył się spać. Spanie też nie jest taką prostą sprawą, jakby się komuś mogło zdawać. Mało to razy Franek nie mógł zasnąć aż do rana? Słyszał nocne tramwaje, bicie zegara u sąsiada, potem świegot

ptaków, turkot furmanek, a wreszcie kroki na schodach i stukot rozstawianych pod drzwiami butelek z mlekiem. Takie noce należały do rzadkości, niemniej zdarzały się. Żeby to matka pozwoliła mu wtedy poczytać. Skąd tam! „Zamknij oczy, to uśniesz” – mówiła.

Zamykał oczy. Nieraz zaciskał powieki aż do bólu. Przed oczyma jawiły się różnobarwne koła i znaki. Przeważnie czerwone, zielone i pomarańczowo-żółte na czarnym tle. Wszystko to migotało i poruszało się jak wzorzysty materiał, w który leciuteńko dmie wietrzyk. Kiedy przyciskał gałki oczne palcami, wietrzyk zamieniał się w zawieruchę. Ale sen nie przychodził.

Kiedyś Franek kupił sobie do latarki zapasową baterię i schowany pod kołdrą przeczytał w nocy prawie całego „Hrabiego Monte Christo”. Nie zdążył skończyć, bo właśnie zaczął się dzień. Zamiast do szkoły poszedł wtedy nad Wisłę i ostatni rozdział przeczytał na plaży. Potem usnął i obudził się po południu, czerwony jak wsypa na pierzynę. Wsypa oczywiście też była. Wszystko się wydało, bo dostał porażenia słonecznego. W domu zemdłał. Przyszedł doktor, smarowali go olejem lnianym i wodą wapienną i kilka dni przeleżał w łóżku, a zszło z niego pięć skór. Oczywiście z Franka, nie z doktora.

Zimą na wagary chodził przeważnie do muzeum, bo to i najcieplej, i najciekawiej. Kilkakrotnie kolega zaciągnął go do kawiarenki, w której był bilard z grzybkiem. Franek tak się zapalił do bilardu, że sprzedał najdroższą książkę, żeby móc trochę pograć. Później ponosił konsekwencje: wagarowanie wydało się, a bez książki „obywał się” przez kilka tygodni i łapał dwóję za dwóję.

Franek niby to leży w łóżku, ale właściwie jest gdzieś bardzo daleko. Prowadzi raketę na Marsa. Właśnie ma się spotkać z Phobosem i Dejmozem. To dwa marsjańskie satelity-księżycy. Tak się to mówi, ale co z nich za księżycy? Za małe. W dodatku krążą wokół Marsa w odwrotnych kierunkach: jeden w lewo, drugi w prawo. Podobnych rzeczy się w kosmosie nie spotyka. Na pewno są sztuczne. A jeżeli są sztuczne, to ktoś je musiał umieścić na orbitach. Tylko kto? Franek musi sprawdzić. Potem polecą dalej, na koniec świata... Czy świat może mieć koniec? A co jest za nim? Oczywiście nic. Ale gdzie się kończy? Mniejsza z tym, zawsze się gdzieś kończy. Nie musimy wszystkiego wiedzieć... Ojciec mówił, że według teorii Einsteina przestrzeń zależna jest od materii, która ją wypełnia. Więc jeżeli widma galaktyk zmieniają się i galaktyki się oddalają, to dowodzi, że przestrzeń się powiększa, czyli wszechświat się rozszerza. Proste jak parasol. Proste? Bzdura! Tego nie można zrozumieć, uczeni tylko tak udają. Widocznie udawanie jest u uczonych odruchem warunkowym.

A co to jest odruch warunkowy? Aha! Jeżeli się daje psu jedzenie i równocześnie naciska się dzwonek albo zapala światło, to potem na widok światła i na odgłos dzwonka cieknie mu ślina, co dowodzi, że ma apetyt. Ciekawe. Zawsze zapominam zamykać za sobą drzwi. Jakby się tak wtedy odzywał dzwonek, to bym pewnie pamiętał. Coś nie tak. Trzeba inaczej. Powiedzmy, że dają Gryłowi jedzenie i równocześnie dają mu sójkę w bok... powiedzmy, że się już przyzwyczaił, o to nie trudno... Co potem? Czy jeżeli dostanie w bok, to od razu zachce mu się jeść, czy też odwrotnie: jak dostanie kawałek chleba, zaraz zacznie prosić, żeby mu dać w bok? To drugie byłoby lepsze. A może zwyczajnie zacznie się mazać?

Tfu! Beksa!

W NIEDZIELE

Zaczynało być gorąco. Nie dlatego, że bocianimi krokami zbliżało się lato, tylko wszystko to razem: koniec roku, bliska premiera, film, skarb i ta wycieczka z Marychną.

W niedzielę było nadspodziewanie ładnie. Na ulicy panował ożywiony ruch. Samochody, motocykle i skutery ciągnęły nieprzerwaną kolumną. Na przystanku zatrzymywały się przeladowane tramwaje i wysypywali się z nich ludzie.

Franek stał tuż przy schodach, oparty o balustradę i czekał na Marychnę. Przyjdzie czy nie? Jeszcze wczoraj mówiła, że wszystko się dobrze zapowiada i że na pewno przyjdzie. Nigdy jednak nie wiadomo. Może rodzice w ostatniej chwili zmienią decyzję? Lustrował oczyma wysiadających. Spodziewał się, że Marychna przyjedzie dwójką, byłoby jej najwygodniej, ale równie dobrze mogła wsiąść w szóstkę, a potem przesiąść się w trzydziestkę albo w dwadzieścia pięć. Przecież ma miesięczny. Na wszelki wypadek obserwował każdy nadjeżdżający tramwaj. Nie miał zegarka i czas bardzo mu się dłużył. W dodatku wyszedł z domu trochę za wcześnie i od razu złapał autobus.

Dobrze by było spotkać teraz Heńka, znowu dociera jakiś motor. Ale nie pokazywał się ani Heniek, ani Marychna, Franek zaczynał się niecierpliwić. Zapytał kogoś, która godzina. Okazało się, że jest dopiero pięć po dziewiątej. Przypomniał sobie, że nie powiedział Antkowi, gdzie się umówił z Marychną. Antek jest przekonany, że na przystani i pewnie już tam czeka. Spóźnią się, choćby nawet Marychna przyjechała pierwszym tramwajem. Jednak nie przyjechała ani pierwszym, ani piątym. Może się minęli albo wcale nie przyjdzie?

Znowu zapytał o godzinę. Dziewiąta dziesięć. Rzeczywiście, czas to pojęcie względne: jak to się teraz dłuży! A czasem leci jak z bicia strzelił, zwłaszcza kiedy się człowiekowi spieszy. Powinno być odwrotnie. Dlaczego w życiu wszystko idzie na opak? Chociaż nie, gdyby wszystko szło na opak, w ogóle nie miałby kajaka.

– Serwus! O czym tak myślisz?

– Przyszłaś jednak?

– Mówiłam ci, że przyjdę. Bardzo się spóźniłam?

– Nie mam zegarka.

– Zobacz. Dokładnie jedenaście minut, a wiesz dlaczego? Tramwaj uciekł mi sprzed nosa i musiałam czekać. Gdyby nie to, byłabym co do minuty.

– Musimy się pośpieszyć – powiedział Franek, schodząc ku Wiśle.

– Co z twoim zegarkiem? – zapytała Marychna.

– Śmieszna historia! Widziałem w kinie taką reklamę, facet rzucił zegarkiem o ziemię, robił głupią minę i mówił: „Zegarki naszej firmy, z amortyzatorem wstrząsu, są niezawodne”.

– Pewnie chciałeś to wypróbować na swoim...

– Taki znowu naiwny to nie jestem. Po prostu opowiadałem matce, co było w kinie. Chciałem odegrać całą scenkę i niechcący wyrzuciłem zegarkiem o podłogę. Rozsypał się na drobne kawałki.

– A co mama?

– Lepiej nie pytaj. Aż mi się zimno robi. Zegarmistrz w ogóle nie chciał go wziąć do ręki. Ale pogodę mamy w dechę.

Dochodzili do przystani.

Antek już był, ale sam nie mógł wodować kajaka, a przystaniowy gdzieś wyszedł.

– No, nareszcie – westchnął, zobaczywszy Franka i Marychnę. – Prześpisz młode lata.

– Już nie takie młode... i wcale nie lata, tylko leży i śpi. Poznajcie się.

Podali sobie ręce. Marychna rozglądała się po plaży, a Antek wciągnął brzuch i usiłował przybrać atletyczną postawę. Trzeba przyznać, że nieźle mu się to udawało. Był dobrze zbudowany.

– Jedziemy, mój gorylu? – zapytał Franek.

Marychna zarumieniła się, a Antek udał, że nie dosłyszał. W milczeniu znieśli kajaki nad wodę; atmosfera wyraźnie się popsuła.

– Dokąd ciągniemy? – spytał Antek.

– Wiadomo, do Wilanowa – odpowiedział Franek niedbałe i sam się przestraszył. To prawie siedem kilometrów, a Wisła o tej porze jest jeszcze dosyć bystra. Czy mu się uda?

Antek odbił bez słowa i od razu wyforował się naprzód. Z każdym ruchem wiosła oddalał się coraz bardziej. Początkowo Franek chciał się z nim ścigać, ale doszedł do wniosku, że nie ma najmniejszych szans. Zresztą lepiej jechać osobno.

Marychna siadła z przodu, twarzą w kierunku jazdy. Była zgrabna i miała prześliczne, podświetlone słońcem włosy. Franek patrzył na nią i myślał, że oto po raz pierwszy jest inaczej niż zawsze. W szkole Marychna siedzi za nim. A jak on właściwie wygląda z tyłu? Dotychczas nigdy się nad tym nie zastanawiał. Z tyłu, z przodu, co za różnica? Ale teraz koniecznie chciał zobaczyć samego siebie. Wygiął się nienaturalnie i odwracając głowę, usiłował dojrzeć swoje odbicie.

Kajak zakołysał się gwałtownie.

– O, Jezu! – krzyknęła Marychna. – Uważaj! Chybnęła się w przeciwną stronę, ale w tym momencie Franek, chcąc odzyskać równowagę, zrobił to samo i nagle obydwójce znaleźli się w wodzie.

Widząc, co się dzieje, Antek natychmiast skontrolował i popłynął na ratunek. Na szczęście Marychna znalazła grunt pod nogami. Spod rozrzuconych, mokrych kosmyków włosów widać było jej pobladłą twarz.

– Z ciebie też jeździec jak z ulicy Koziej róg Miodowej – powiedział Antek.

Inny na Franka miejscu starałby się przypisać winę partnerce. Franek tego nie zrobił. Powiedział tylko:

– Tak jakoś wyszło. Całe szczęście, że płytko.

Przytrzymał kajak i pomagał Marychnie wsiadać. Antek chciał ją zabrać do swego kajaka, ale nie wiedział, jak powiedzieć. „Pani” – to trochę głupio, a znowu tak z miejsca na ty, też nie wypada. Zrobił znaczący ruch i rzekł:

– Proszę bardzo, może ze mną?

– T r u d n o. Pojadę z Frankiem. Tylko uważaj, na litość boską, mówiłam ci, że prawie nie umiem pływać. Dziękuję, jak masz na imię?

– Antek.

– A ja Marychna. Masz grzebień?

To „trudno” bardzo Franka ukłuło. Właściwie powinien jej być wdzięczny, że po tym wszystkim jeszcze chce z nim jechać, tylko dlaczego poprosiła Antka o grzebień? Czy chciała być uprzejma? A może jedzie z Frankiem przez zwykłą lojalność? Kto ją tam wie? Żeby to był chłopak, wszystko byłoby jasne, ale baby zawsze coś wymyślą. Nie robi mu żadnej łaski. Nie dość, że ma ją taszczyć siedem kilometrów pod prąd, jeszcze ma jej być za to wdzięczny. Dobre sobie!

No, nie daj Boże, żeby miała wracać z Antkiem. To by dowodziło, że chciała go zwyczajnie zamęczyć, a on naiwny jeszcze się cieszył. Teraz żałuje, że ją ze sobą zabrał. Niechby siedziała w domu.

Antek podał grzebień i Marychna rozczesywała zmoknięte włosy. Wisiały jak strąki i przyklejały się do skóry.

– Było się czym zachwycać – powiedział Franek.

– Niby czym? – zapytała Marychna.

– No, właśnie!

Marychna chciała się odwrócić i kajak znowu się zachybotał.

– Uważaj – ostrzegwał Franek – tu może być głęboko.

– Co miałeś na myśli z tym zachwytem?

– Oczywiście pogodę, cóż by innego? Niby gorąco i słońce świeci, a jak się wpadnie do wody, aż febra trzęsie.

– Mnie tam było gorąco.

– Przepraszam. Wiesz przecież, że nie chciałem. Zawsze kiedy człowiek chce najlepiej, wychodzi najgorzej.

– Mogło być gorzej.

– To prawda, mamy szczęście.

Antek płynął o kilka metrów dalej.

– Nie zimno wam? Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą sweter.

Antek był jednak przyjacielem.

– Ja dziękuję. Chyba że Marychna?

– Ja też dziękuję. Już jestem prawie sucha.

Rzeczywiście, słońce dopiekało i włosy Marychny nabierały dawnej puszystości. Siedziała oparta o podpórkę umieszczoną wewnątrz kajaka i zanurzała w wodzie końce palców. Krótka, poprzeczna fala uderzała o burzę, rozpryskując dookoła drobniutkie kropelki. Franek zauważył, że Antek daje mu jakieś znaki. Odwrócił głowę. Antek pytał na migi, czy mu nie ciężko i wskazywał na brzeg. Franek ledwie zapał, ale wstydził się przyznać i potrząsnął głową na znak przeczenia. Antek wzruszył ramionami i powoli zaczął wysuwać się ku przodowi.

– Jak ci się jedzie? – zawołał do Marychny.

– Bajecznie! Mogłabym tak płynąć i płynąć.

– Zrobimy krótką przerwę – zdecydował Antek i przecinając im drogę, skreślił ku brzegowi. – Musicie wylać wodę.

– To dziwne, ale nie nabrało się nic a nic wody – zapewniła Marychna. – Skoro jednak Antek...

– Jak sobie chcesz – sapnął Franek i ruszył w ślad za Antkiem.

Dobili do trawiastego brzegu.

– Zjemy coś?

– Nie wiem, czy warto? Może lepiej poczekać?

– A ty, Marychna?

– Prawdę mówiąc, jestem trochę głodna.

– No, to lu!

Okazało się, że postój pomyślany był w samą porę.

– Szkoda, że jeszcze nie ma wiśni – rzekł Franek.

– Lubisz? – spytała Marychna.

– Przepadam! Moje najulubieńsze owoce.

– Jak będziesz miał kiedyś własny ogród, dam ci w prezencie sadzonki.

– Skąd je weźmiesz?

– Kupię – odpowiedziała.

– Nie warto – odparł Franek i pomyślał sobie, że właściwie jest bardzo podły. Jak mógł ją tak posądzać? I dlaczego od samego rana przyczepił się do Antka z tym gorylem?

Antek położył się na brzuchu i żuł trawkę. Słońce stało w zenicie. Franek leżał na wznak, z podłożonymi pod głowę rękami.

– Czy można się o ciebie oprzeć? – spytała Marychna. Oparła na nim głowę. – Nie chciałabym się zapiaszczyć – tłumaczyła.

– Wyobraźcie sobie, że na biegunie jest teraz mróz – mruknął Antek.

– Co tam biegun! – odparł Franek. – Eskimosi to zwykle pieszczochy. W zeszłym roku w Warszawie był taki mróz, że na Torwarze popękały wszystkie przewody zamrażające lodowisko i lód w gnieniu oka rozpuścił się bez śladu.

Marychna i Antek zachichotali. Marychna trochę głośniej, może dlatego, że Antek łaskotał ją w nogę słomką.

– Z czego się cieszyacie? – zapytał Franek. – Mówię poważnie.

– Jak się tu nie śmiać – powiedziała Marychna i nie podnosząc głowy, pogroziła Antkowi.

– Frajer jesteś, te urządzenia popękały nie od mrozu, tylko ze śmiechu.

Franek wyczuł w jego głosie fałszywą nutkę i ostrożnie otworzył jedno oko. Ale Antek zdążył już cofnąć rękę.

– Z tobą lepiej nie zaczynać – powiedział wstając.

– Spróbuj – uśmiechnął się Franek.

Antek znielacka skoczył i poturlali się po murawie. Zamienili się w zwarty kłębek, w którym migąły tylko ręce i nogi. Marychna była przerażona. Nie wiedziała, czy to naprawdę, czy na żarty. Nieraz widziała w szkole walki chłopców, ale nigdy jeszcze nie spotkała się z czymś podobnym.

– Przestańcie się bić – prosiła.

Antek był silniejszy, za to Franek był bardziej zwinny. Tak, jak się nagle zwarli, teraz nagle oderwali się od siebie i stanęli na nogach. Twarze mieli uśmiechnięte, ale ich oczy błyszczały dziko i widać było, że walka się jeszcze nie skończyła. Zbliżali się do siebie ostrożnie, z rękoma gotowymi do chwytu. Mierzyli wzrokiem każdy swój ruch.

– Dosyć! – zawołała Marychna. – Przes...

Nie zdążyła dokończyć, gdy raz jeszcze na siebie wpadli i znowu się wszystko zakotłowało. Ale tylko przez chwilę.

Franek poszedł do ataku mocno pochylony i Antek miał pewność, że tym razem będzie go mógł złapać za głowę. Chciał mu założyć „krawat”. Franek w ostatniej chwili podbił jego rękę, przedostał się do tyłu i błyskawicznie założył mu nelsona.

Antek znał ten chwyt. Nelson był specjalnością Franka i o tym, żeby go zerwać, nie było mowy. Toteż nie chcąc na próżno tracić siły, wychrypiął:

– Poddaję się.

– Okazuje się, że miałeś rację – mówił Franek, zwalniając uścisk. – Przekonałeś mnie, że lepiej ze mną nie zaczynać. – A potem dodał z uznaniem: – Kiedyś ty się zrobił taki silny? Już byłem w strachu, że przegram. Słowo daję!

Marychna nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Z Franka była dumna, a znowu Antka było jej żal. Udała, że wszystko razem nic a nic ją nie obchodzi, i zapytała:

– Jedziemy wreszcie do tego Wilanowa?

Wykapali się i w kilka minut później obydwaj kajaki płynęły w górę rzeki. Marychna jechała razem z Antkiem. Franek nie był zazdrosny. Niech sobie jedzie, na zdrowie. Antek też musi trochę popracować.

Okazało się, że Antek był bardziej przezorny. Wiózł ze sobą w kajaku składane wiosło i teraz uczył Marychnę wiosłować. Niewiele mu pomagała, ale zawsze...

– Jak wam leci? – zawołał Franek.

– Mam bardzo zdolną uczennicę! Z powrotem sama już będzie mogła płynąć.

Okolo trzeciej po południu kajaki werżnęły się kilami w przybrzeżny muł. Weszli pomiędzy wikliny, szukając cienia. Na malutkiej polance rozłożyli flanelowy koc. Antek gdzieś

odszedł i długo nie było go widać. Wrócił z bukietem anemicznych kwiatków. Kręcił się wśród pobliskich krzaków, jakby czegoś szukał, wreszcie zbliżył się i położył kwiatki obok Marychny.

– Myślę, że wybierzesz się z nami w przyszłą niedzielę – rzekł z głupia frant.

Marychna zarumieniła się.

– Przyjdziesz?

– Oczywiście.

Franek posiedział jeszcze przez chwilę, a potem bez słowa zniknął pomiędzy krzakami. Wrócił z wielkim bukietem kłujących, niebieskawych ostów i uklonił się Marychnie z przesadną gracją.

– Proszę cię bardzo, to dla ciebie. Nie krępuj się!

– Coś ty, Franek?

– W nagrodę za te sadzonki wiśni. – Odwrócił się i powiedział zmienionym głosem: – Wracamy.

– Już? Tak prędko? – spytał Antek.

– Mam jeszcze sporo do roboty.

– Wypracowanie z polskiego? – rzekł Antek nie bez satysfakcji.

Franek spojrział na niego zimno i odparł:

– Dyrektorek!

Ale ta obelga, zamiast straszliwie Antka dotknąć, wyraźnie go ucieszyła, a Marychna popatrzyła na niego z szacunkiem.

Franek poznał w tym spojrzeniu coś, co powinno być przeznaczone tylko dla niego.

Wsiadł do kajaka i bez słowa odbił od brzegu.

SKARB

Dzwonili ci panowie z filmu.

Tego i tego dnia, o godzinie szóstej rano Franek ma się stawić w wytwórni. Wyjeżdżają do Rembertowa.

Będą kręcone ostatnie sceny filmu: mały dobosz ginie chwalebnie w pierwszym boju. Ciało pokryte sztandarem, prosty, drewniany krzyż; nad mogiłą dowódca mówi kilka skąpych, żołnierskich słów. Po surowych twarzach żołnierzy spływają łzy. Zbliżenie. To musi wzruszyć publiczność.

Franek przebrał się w kostium dobosza i dostał wysoki bęben. Biegać z nim będzie chyba bardzo niewygodnie. Charakteryzator umoczył gąbkę w jakimś kolorowym płynie i momentalnie uszmiłkował mu twarz.

– Co to takiego?

– Szminka.

Dotychczas Franek był przekonany, że szminka może być tylko w kawałku. W teatrze nie używano płynnych szminek.

Jeszcze kilka pociągnięć małym pędzelkiem: brwi, usta i jazda do samochodu.

Dzień był chmurny i chłodny. Przy takiej pogodzie nie można iść do ataku, nic z tego nie wyjdzie. Obraz będzie płaski i zamazany.

„Gdyby to tak było na prawdziwej wojnie” – myślał Franek, łącząc pomiędzy statystami.

– Po kiego się tu pętasz? – powiedział jeden ze starych wiarusów, po którego twarzy miały płynąć na zbliżeniu gorzkie łzy.

Franek nie odpowiedział. Tego by tylko brakowało, żeby miał się zniżyć do kłótni, on, bohaterki dobosz, ulubieniec tłumów.

Do południa bęben poobijał mu nogi.

Obiad jedli jak prawdziwi żołnierze. Zajęła kuchnia polowa. W menażki wlewano grochówkę i gulasz. Potem na chwilę wyjrzało słońce. Rzucili wszystko i natychmiast poszli do ataku. Biegali w różnych kierunkach, krzycząc „hurrra!”, ale wrogom nie udało się zabić Franka – zacięła się kamera. Reżyser i operator klęli całkiem współcześnie, chociaż wszystko działo się za Kościuszki. Franek był rozczarowany. Statyści cieszyli się. Zarobili na czysto jeden dzień.

Do Warszawy odwieziono go samochodem. Jutro o szóstej znowu ma być w wytwórni.

Ale prawdziwe kino było dopiero w szkole.

Więc najpierw klasówka z matematyki. Ta sama, którą Franek przespał kilka dni temu i która miała zadecydować o stopniu na rocznym świadectwie.

Profesor tkwił na katedrze nieruchomy jak sfinks i ani na chwilę nie odrywał oczu od ławek.

Kiedy wzrok jego padał na Franka, Franek czuł się jak pod ostrzałem najcięższej artylerii. Wolałby nacierać na wroga z niewygodnym bębniem, niż szukać odpowiedzi na pytanie, którego kompletnie nie rozumiał. Takie bojowe zadanie przerastało jego siły.

W dodatku, jeżeli zginie w tej nierównej walce, nikt nie będzie po nim płakać. Straci rok.

Nim upłynęła lekcja, poniósł sromotną klęskę. W chwili gdy wydawało mu się, że zaczyna łowić ukryty sens, podobnie, jak tępy widelcem łowi się śliski, marynowany grzybek – pro-

fesor zapytał go, nad czym tak duma i czy nie ma zamiaru wziąć się do pracy. Franek zgubił wążek i musiał zaczynać wszystko od początku. Oczywiście, zadania nie rozwiązał.

Na pauzie Marychna zapytała, ile mu wyszło.

– Wyszło szydło z worka – powiedział i odwracając się tak stuknął Gryła, że tamten wyróżnął łbem o ścianę.

Gdyby w pobliżu nie było wychowawcy, na pewno doszłoby do bójki, bo chociaż Gryl zrobił zaraz płaczącą minę, to i tak zdażył uderzyć Franka kułakiem. Franek kątem oka zauważył Filutka. Powiedział cicho i złowieszczo:

– Przy najbliższej okazji spuszczę ci takie manto, że cię rodzona babka nie pozna, Grzdylu jeden!

– Chyba się wściekłeś – powiedziała Marychna. – Jak jesteś taki silny, to pobij się z woźnym. Jeszcze się z nim nie biłeś.

– Jakby zaczął, to też by dostał po uszach – rzekł Franek odchodząc.

Był wściekły. Dość ma tego wszystkiego: całej tej Marychny, szkoły, klasówki, awantur i w ogóle. Niech sobie mówią, co chcą, a on ma dosyć. Dosyć!

Boże! Cóż to będzie za piekło, jeżeli zostanie na drugi rok! Ucieknie z domu albo... Nie! Jest ratunek! Jest przecież wyjście! Dzisiaj po lekcjach idą z Godlewskim i Maksym odkopać skarb. Ma nawet starą, saperską łopatkę, dostał ją w Rembertowie. Jak mógł o tym zapomnieć?

Godlewski i Maks rozwiązyali zadanie, ale obydwaj nie byli ze siebie zadowoleni: Maks rozwiązał prawidłowo i mimo to otrzymał całkiem inny wynik niż wszyscy, a Godlewski miał dobry wynik, ale nie umiał powiedzieć, w jaki sposób do niego doszedł. Wydaje mu się, że ktoś mu podpowiedział.

Teraz skwapliwie zgodzili się na wyprawę.

– Franek ma rację, trzeba się ratować.

Dzień był pogodny i wyprawa zapowiadała się pomyślnie.

– Zobaczycie, że potem wszystko się zmieni – powiedział Franek – a ten Grzdyl to chyba wyskoczy ze skóry.

– Miałeś globus, że wzięłeś ze sobą łopatkę – stwierdził Maks. – Rękami byłoby ciężko, twarda ziemia.

– To frajer. Pracy się nie boję. Żeby tylko już prędzej znaleźć.

– Wiecie co? Zróbmy tak, jak poprzednio. Rozejdźmy się i niech każdy szuka osobno. Większe szanse.

– Mój ty geometro! Wpadłeś na genialny pomysł. W nagrodę będziesz sobie mógł wziąć o złoty więcej. Damy ci po pięćdziesiąt groszy w charakterze premii za pomysł racjonalizatorski. Dasz, Maksiu?

– Dlaczego ja?

Maks myślał już o samochodowych książeczkach PKO. Filutek wyraźnie zmałał i błąkał się po szkole, szukając protekcji. Wóz był zaparkowany na boisku i woźny uważał, żeby go nikt nie dotykał palcami. Potem na lakierze zostają ślady. To dziwne: dlaczego nikt nie zwraca dzieciom uwagi, że nie wolno dotykać samochodów i motocykli? Przecież to cudza własność.

Franek w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć wierszyka. Pamiętał tylko, że któraś zwrotka kończy się na „ma gosposię” i że było to w lesie. Zaraz, jak to było?

*Ojciec w mercedesie,
Kryśka gdzieś w kosmosie...*

Nie, jakoś inaczej.

*Ojciec w mercedesie,
Kryśka dłubie w nosie...*

Też nie tak. A może by ułożyć coś całkiem innego? Tamto ma przecież zapisane, nie ucieknij mu. Już wie. Ułoży coś na Gryla i jutro sprzeda w klasie. Ale będzie ubaw!

Szedł, rozgarniając łopatką trawę. Licho wie, jaki ma być ten drążek: duży czy mały? Franek rozglądał się po polu i równocześnie układał wiersz. Już on go zrobi na szaro. Kryśka przecież nie dłubie w nosie. Nigdy nie dłubała. W nosie dłubią tylko tacy, jak Gryl. Więc tak:

Gryl w mercedesie dłubie w nosie...

W jakim tam mercedesie? Też pomysł! Zaraz by się rozpląkał. Raczej na sedesie! Świetnie! Już ma:

*Na sedesie siedzi Gryl i
Bez wytchnienia dłubie w nosie.
Siedzi Gryl i głośno kwili,
Łatwo poznać go po głosie.
Kwili Gryl i ryczy beksa,
Bo przedwczoraj zrobił kleksa.*

– Prędko! Jest! Jest!

Franek i Maks puścili się biegiem. Godlewski skakał koło żelaznego drążka, który na pół metra wystawał z ziemi. Spróbowali, czy się rusza. Kiwał się jak nadłamany ząb, który lada chwila ma wypaść.

– To chyba ten sam?

– Ciągniemy?

– No, chłopaki, wszyscy razem. Hoo-hop!

Aż poczerwienieli od wysiłku.

– Hoo-hop! Hoo-hop!

– Nie da rady. Trzeba go jeszcze obruszać.

Maks zaczął kręcić drążkiem, nagle odskoczył i krzyknął:

– O, rany! Uciekajmy!

Godlewski i Franek odbiegli kilka kroków i przystanęli, pewni, że chciał ich nabrać, ale Maks pędził dalej i wrzeszczał na całe gardło:

– Uciekajcie, to mina!

Skoczyli na łeb, na szyję, zostawiając teczki i łopatkę. Godlewski był zielony z przerażenia.

– Skąd wiesz, że mina?

– Na pewno! Co by tutaj mógł robić taki drążek?

Leżeli wpatrzni w złowieszczy drążek, z którym jeszcze przed chwilą wiązali tyle nadziei. Lada chwila powinien nastąpić wybuch. Dygotali z przejęcia.

Pierwszy odezwał się Franek:

– Gdyby to była mina, już dawno bylibyśmy u Abrahama.

– A nie słyszeliście, że są bomby i miny z opóźnionymi zapalnikami?

– Pewnie, że słyszałem, tylko skąd mina w mieście?

– Jeszcze z czasów wojny.

– Teren dawno rozminowany.

– Nie bój się! Cała Polska niby dawno rozminowana, a stale ktoś się nadziewa na minę albo na pocisk.

– W zeszłym roku przy rozbieraniu fundamentów na Hożej znaleźli bombę lotniczą. Pomyślcie, w samym śródmieściu – rzekł Godlewski.

Franek pomyślał, że po pierwsze – i tak muszą zabrać teczki; po drugie – zawałił klasówkę i zostanie na drugi rok. Nawet nie warto się teraz uczyć. Już nie będzie próbował przejść do następnej klasy. Wszystko stracone. Nie zależy mu na niczym. Raz kozie śmierć!

Powiedział:

– Musimy zabrać teczki.

– Zaczekajmy jeszcze kilka minut – radził Maks.

– Zaczekać nie zaszkodzi, od tego nikt nie umarł – rzekł Godlewski.

– Słuchajcie, chłopaki – ucieszył się nagle Franek – przecież Edek próbował już ten drażek wyciągnąć. Gdyby to była mina, dawno by wybuchła. A jeżeli nawet, to zapalnik musiał nawić. Sam się chyba nie zreperował? – I Franek podszedł do drażka.

Godlewski i Maks nie chcieli się okazać tchórzami.

– Mimo wszystko nie radziłbym go dotykać – przestrzegął Godlewski. – Z takim czymś nigdy nie wiadomo...

– Mam myśl – powiedział Maks. – Wcale nie trzeba go dotykać. Starczy okopać naokoło i szlus.

Kopali kolejno, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Po dwóch godzinach wykopali wokół drażka głęboki rów, ale na nic nie natrafili, a drażek nadal nie dał się wyciągnąć. Ubrania mieli powalane ziemią, ręce brudne, a na dłoniach pęcherze. Poza tym byli porządnie głodni.

– Może skończymy jutro? – zaproponował Maks.

– Za żadne skarby! – odparł Franek. – Chcecie, to idźcie, ale figę komu dam! Musimy się dokopać, choćbym miał kopać przez całą noc.

Cienie wydłużały się, a Maksowi i Godlewskiemu wydłużały się miny. Kopali posłusznie pod dowództwem Franka, ale byli na niego wściekli. I właśnie wtedy, kiedy chcieli ostatecznie zrezygnować, łopatką natrafiła na opór.

Zgrzytnęło ostrze.

– Jest!

– Nie mówiłem? – chwalił się Franek. – Teraz pójdzie raz – dwa.

Łopatką odsłaniała gruby, lśniący drut.

– Ki diabeł? – spytał Godlewski.

– Kop, czego się gapisz?

Kopali poprzeczny korytarz, równoległy do nasypu, ale w dalszym ciągu odsłaniali jedynie drut.

– A może zaminowane jest całe pole i miny są połączone szeregowo? Do tego, żeby wybuchły, potrzebny jest prąd.

Nagle Godlewski palnął się w czoło, zostawiając na nim czarny ślad ziemi.

– O, my barany! O, półgłówki! Czy wiecie, co to jest? Jakiś przewód, kabel czy inne świństwo. A wiecie, po co jest drażek? Właśnie po to, żeby można było ten przewód znaleźć. Jestem pewny, że takie same drażki są tu co kilkadziesiąt metrów, może nie? – I pobiegł wzdłuż nasypu, starając się zachować jednakową odległość od toru.

Po kilku minutach zawołał:

– Mam już i drugi skarb! Identyfikacyjny!

Franek siedział jak skamieniały.

– Idziemy, nie ma co! – Godlewski wytarł ręce o trawę i podniósł teczkę.

– Idźcie sami, zaraz was dogonię.

„Czy wszystko w życiu wygląda właśnie w ten sposób?” – myślał Franek.

Antek... Marychna... skarb. Antek okazał się świnią, Marychna – lepiej nie mówić, a skarb, który miał zmienić jego życie, był zwyczajnym drutem. Zwyczajnym drutem. Heniek mówił, że

czego człowiek z ziemi nie wyorze, samo do niego nie przyjdzie. Heniek też się mylił. Przecież Franek orał. Kopał tymi dwiema rękami przez całe popołudnie i co z tego? Czy po to kopał, żeby odkopać jakiś parszywy drut? Czy może po to, żeby przeżyć jeszcze jedno rozczarowanie, tak jakby tego, co zdarzyło się w niedzielę, było za mało...

A może jednak Godlewski się myli? Może właśnie podziemny drut jest śladem wiodącym do tajemniczego, ukrytego skarbu?

Ale, co jest tym skarbem? Co jest skarbem?

Kilka razy stuknął ostrzem w podziemny przewód, aż zadźwięczała stal.

Potem mocno ujął łopatkę za trzonek i z rozmachem cisnął ją w pole. Opisała w powietrzu łuk i uderzyła w telegraficzne druty.

Zaśpiewały jak ptaki.

KONIEC ROKU

To już było wiadome: z matematyki Franek będzie miał dwójkę na roczny stopień. W żaden sposób nie da się tego odwrócić.

Toczyła się walka, żeby uniknąć dwójki z jakiegokolwiek innego przedmiotu. Jeżeli uda mu się uzyskać chociaż marne trójczyny, jest uratowany. Matematykę będzie mógł poprawić po wakacjach. Jeśli dostanie drugą dwójkę – przepadł.

Właściwie dwójki groziły mu ze wszystkiego, nawet z takich łatwych dla niego przedmiotów, jak gimnastyka i PW, a to przez sprawowanie. Na lekcjach czuł się za swobodnie, pozwalał sobie na ryzykowne dowcipy. Wobec zachowania Franka stopnie zależały od dobrej woli profesorów.

Pani Fszystkonietak rwała włosy z głowy.

– Ty chyba nie masz serca – rozpaczła. – Zlituj się, przecież wyrośniesz na głuptaka!

– Mamo, ja naprawdę chcę jak najlepiej, tylko mi nie wychodzi. Jestem pechowy!

– Wszystkiemu winien ojciec – mówiła pani Fszystkonietak. – Nie powinien ci być pozwolić grać w teatrze. Żebyś mi się więcej nie ważył tam pójść. Na krok nie wyjdiesz z domu, pamiętaj.

– Teatr mi wcale nie przeszkadza – bronił się Franek. – Przecież Włodek tak samo chodzi na próby.

– Tobie nic nie przeszkadza! Nie przeszkadzają ci moje łzy, nie przeszkadza ci, że wyrzucamy na ciebie pieniądze. Ale poczekaj. Z teatrem od dzisiaj koniec. Kajak sprzedam albo porąbię. Będę z ciebie pasy darła, a musisz skończyć szkołę. Rozumiesz? M u s i s z!

– Na pewno skończę. Co ma do tego kajak? Antek ma kajak i wiatrówkę, i jeszcze psa... No, widzisz?

– Naśmiewasz się, że odrabia wypracowania z polskiego! To on się z ciebie powinien śmiać i płakać nad tobą, jeżeli jest twoim przyjacielem.

– Jaki tam z niego przyjaciel...

– Aha, więc już się od ciebie odwrócił? Widocznie przejrzał na oczy. Zobaczył, co jesteś wart. Tylko miłość matki jest wiecznie ślepa!

– Zastanów się, co mówisz – zawołał Franek, dotknięty do żywego.

– Jak ty się do mnie odzywasz, smarkaczu jeden? W ten sposób możesz sobie rozmawiać z Włódkiem, jeżeli ci na to pozwoli. Do niego na pewno arogancko się nie odezwiesz, bo się go boisz. Doczekałam się.

Matka zupełnie się nie orientowała w układzie sił. Co prawda, Włodek był o głowę wyższy, ale Franek jedną ręką dałby sobie z nim radę.

– No, tak – powiedział z rozdrażnieniem – jestem najgłupszy, najślabszy i najgorszy. Trzeba sobie było urodzić Włodka i Antka. Nie prosiłem się.

„Wszystko przez ten skarb – myślał Franek. – Gdybym nie liczył na cud, na pewno dałbym sobie radę. Wtedy jeszcze był czas. Zdążyłbym odrobić zaległości. A teraz? Teraz wszystko przepadło. Z matematyki murowana gała! Żeby tylko nie wkleili mi jeszcze z czegoś. Przez wakacje mogę się obkuć na cztery łapy. Śpiewając będę mógł zdawać. Przecież ojciec po powrocie z Krakowa zdążył nadrobić pół roku. Matka ma rację. Rzeczywiście jestem świnia.

Na wszystko mi pozwalają, mam wszystko, a ojciec w Krakowie nie miał nic. Biedny ojciec. A matka? Jeszcze biedniejsza. Co też ona przeszła w czasie powstania! To tak, jak ja bym stracił Krystynę. Wolałbym już sam umrzeć!”

Widział siebie leżącego w trumnie i pochylonych nad nim, splakanych, zrozpaczonych rodziców. Na myśl o tym tak się rozczulił, że omal się nie rozplakał. Rodzice płaczą nad trumną. Po ich twarzach płyną łzy. Zbliżenie.

Rzeczywiście, ta scena powinna być bardzo wzruszająca. Na sali będą płakać, murowane. A może by podsunąć reżyserowi taki pomysł: na zbliżeniu po twarzy starego wiarusa spływają łzy. Kap, kap, kap... i nagle inna scena. Na ciało przykryte sztandarem padają kwiaty: jeden, drugi, trzeci... mogiła tonie w kwiatkach. Albo jeszcze inaczej: łzy spływają na wąsy. Starego wiarusa swędzi i na zbliżeniu śmiesznie rusza wąsami. Wtedy on, Franek, zrywa się i wybucha śmiechem. To by była heca!

Zawstydził się. Że też w takiej chwili przychodzą mu do głowy podobne myśli. Ojciec w Krakowie na pewno tak nie myślał. Albo taki Heniek. Ten musi ciężko pracować. Tyra od rana do wieczora.

Właściwie, jak to jest? Niby Heniek tyra, ale w gruncie rzeczy bardzo się z tego cieszy i z nikim by się nie zamienił. Zresztą on, Franek, też pracuje. Przecież za grę w filmie zapłacili mu, i to nieźle. Pracował z wielką przyjemnością, tak samo, jak Heniek. Jak się lubi swój fach, to się pracuje z radością. Widocznie praca daje szczęście. Ale żeby zdobyć zawód, najpierw trzeba się uczyć. Ha, trudno! Jeżeli koniecznie trzeba się uczyć, należy to robić jak najlepiej, choćby nawet było i przykro. Jakże to? Więc pierwszym krokiem do radości jest przykrość? W życiu tak się wszystko dziwnie przeplata... Może zresztą nie dziwnie... Gdyby człowiek nie znał przykrości, nie mógłby wiedzieć, co to przyjemność. Niczego nie umiałby ocenić.

Oo, Franek doskonale umie ocenić, jakie by to było szczęście, gdyby mu nie wkleili jeszcze jakiejś dwójki.

Stryjek Włodek był nauczycielem i mieszkał na wsi. Włodek co kilka lat spędzał u niego wakacje.

Matka porozumiała się z rodzicami Włodka. Czy nie byłoby łaskawi tak to urządzić, żeby chłopcy mogli wyjechać razem? Oczywiście państwo Fszystkonietak zapłacą za Franka, ile tam będzie trzeba, Najważniejsze, że Franek w ten sposób nie straciłby wakacji i równocześnie mógłby się uczyć. Na pewno stryjek podciągnąłby go z matematyki. Zapłacą osobno. I tak byłoby to dla nich wielką przysługą.

– Muszę się porozumieć z bratem – powiedział inżynier.

– Oczywiście – zgodziła się pani Fszystkonietak – ale jak pan myśli, da się coś zrobić?

– Myślę, że tak. Włodek już się cieszy, że będą razem.

– Bylibyśmy państwu bardzo zobowiązani. Poza tym Frankowi potrzebna jest silna ręka. Jestem pewna, że pański brat jako profesor umiałby nim odpowiednio pokierować.

Inżynier roześmiał się.

– Może pani być spokojna. Będzie chodził jak po sznurku. Brat jest doskonałym pedagogiem. Moja krew.

– Nie chciałabym, żeby był zbyt surowy... ostatecznie Frankowi należy się także i wypoczynek. Jest z natury wąty. Powinien jak najwięcej korzystać ze słońca. Czy tam jest ładnie?

– Cudowna okolica. Tuż za wsią wielki, sosnowy las...

– A woda jakaś jest w pobliżu?

– A jakże. Pod samym nosem piękne jezioro, a i do Wisły niedaleko!

– Żeby się nam nie potopili – złąła się matka.

– E-he-he! Dla chcącego nie ma nic trudnego. Można się utopić i w wannie. Tamtejsza sadzawka niewiele większa.

– Mówił pan, że niedaleko do Wisły...
– Ja mówiłem? Chyba się pani przestyszała. Do Wisły szmat drogi.
– Uspokoił mnie pan.
– Widzi pani, nie można brać wszystkiego tak tragicznie. Włodek nieraz był tam na wakacjach i nic złego mu się nie stało. Kiedy wyjeżdża do brata, trzęsę się o niego. Brat jest za miękki. Można go owinąć dookoła palca. Niby moja krew, a przecież zupełnie inny. U mnie wszystko musi chodzić jak w zegarku! Włodek! Która godzina?

To najgorsze Franka ominęło.

Profesorowie okazali się wielkoduszni i nie zapłacili mu pięknym za nadobne. Dostał takie stopnie, na jakie zasłużył: z polskiego i z niemieckiego czwórki, z matematyki dwója, a z pozostałych przedmiotów same trójczyny.

Powinien był się spalić ze wstydu. Ale Franek był w siódmym niebie. Przecież to najlepsza cenzura jakiej się mógł spodziewać! Obiecał sobie, że przez wakacje wykuje matematykę na blachę.

Krystyna wyjeżdżała nad morze. Gdyby Franek przeszedł do następnej klasy, byłby pojechał z nią razem, ale niech tam! Szczęśliwa Kryśka! Zdała celująco maturę. Ma już to wszystko poza sobą. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę jej zazdrościł.

Przed wyjazdem Franek odbył długą rozmowę z ojcem. Ojciec tłumaczył mu jak dorosłemu mężczyźnie, że ma ostatnią, wielką szansę. Jeżeli ją zlekceważy, straci rok życia. Franek solennie obiecał, że będzie się uczył i że po powrocie zda matematykę na czwórkę. W pierwszej chwili chciał nawet powiedzieć: „na piątkę”, ale ugryzł się w język. Jeżeli jest mężczyzną, nie może rzucać słów na wiatr.

Rodzice odprowadzili chłopców na statek i czekali aż do odjazdu, a potem długo jeszcze machali chusteczkami. Wszystko było z góry umówione: wysiadają na pierwszym przystanku za Płockiem; tam czekać będzie bryczka, którą dojadą na miejsce,

Bryczka rzeczywiście czekała na nich i młody, cisawy konik rącho pocwałował w kierunku szkoły. Do wioski było niespełna trzy kilometry. Droga wiodła przez pole i przez piękny, sosnowy las. Tuż za nim zaczynała się wieś.

Stryjek był przystojnym, szpakowatym mężczyzną. Przywitał ich serdecznie, kazał się umyć, potem posadził do obiadu.

Wieczorem wyciągnęli się rozkosznie w czystej pościeli. Mieli swój własny pokój z dwoma łózkami. Okno wychodziło na sad.

Obudziło ich głośnie szczekanie psa. Franek otworzył oczy i przez chwilę rozglądał się nieprzytomnie, nie mogąc sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Aha, jest na wsi. Na drugim łóżku leży Włodek. Za oknem ujada pies. Słysząc jakieś głosy, gęganie i kwakanie.

Franek bardzo nie lubił rannego wstawania, budził się z trudem. Przechodzenie z jednego stanu w drugi trwało zawsze dość długo. Teraz jednak żwawo zerwał się z łóżka i zawołał do Włodka:

- Wstawaj, leniu! Jak ci nie wstyd?
 - To sobie wstawaj – powiedział Włodek i odwrócił się do ściany.
- Franek biegł do studni. W drzwiach natknął się na stryjka.
- Dzień dobry panu.
 - Dzień dobry, to z ciebie taki ranny ptaszek? Jak wam się spało?
 - Dziękuję bardzo, wspaniale!
 - To zasługa twojego zmęczenia. Włodek wstał?
 - Właśnie wstaje.
 - A ty dokąd?
 - Chciałem się umyć.

– To doskonale, ale po co wybiegasz na dwór? Jeszcze się przeziębisz. Nie przywykliście w Warszawie do surowego, wiejskiego trybu życia. Masz tutaj ciepłą wodę... o, tu jest miska.

– Jestem przyzwyczajony. W domu też myję się czasem zimną wodą. W zeszłym roku przeszło tydzień mieszkałem na wyspie w szałasie i rano zawsze kąpałem się w Wiśle.

– I tutaj będziesz się mógł wykąpać w Wiśle, jak będzie ładny dzień.

Franek umył się w kuchni i na bosaka wybiegł przed dom. Burek targnął łańcuchem i zaczęła ujadać jak potępieniec.

– No, czego? – zapytał Franek, odważnie podszedł do psa i położył mu rękę na łbie.

Takie zachowanie zupełnie Burka ogłupiło. Przestał szczekać, ale w gardle mu bulgotało i odsłaniał białe, lśniące zęby. Cofnął się w stronę budy i nieufnie patrzył na Franka. Zjeżona sierść powoli wracała do normalnego położenia.

Franek przysunął sobie pustą skrzynkę i usiadł obok, pieszczotliwie przemawiając do psa.

Warczenie ustało. Burek ostrożnie podszedł na sztywnych łapach i wyciągając pysk zaczął Franka obwąchiwać. Franek nie przestawał do niego mówić.

Wreszcie pies, nie czując widać nic podejrzanego w zapachu gościa, położył mu łeb na kolanach, a Franek zaczął go głaskać.

– Bój się Boga! – zawołał stryjek przez okno. – Przecież ten pies jest postrachem całej okolicy. Nawet gospodyni boi się podejść do niego z żarciem. Pogryzie cię!

– Mnie? – Franek roześmiał się. – Jeszcze żaden pies mnie nie ugryzł.

– Chodź na śniadanie.

Rozmawiając ze stryjkiem, Franek na chwilę zapomniał o Burku. I stała się rzecz dziwna. Pies zaczął go trącać pyskiem w rękę, a gdy to nie pomogło, kilkakrotnie zaczepił go łapą, dopraszając się o pieszczoty.

Od tego dnia Franek codziennie zanosił mu żarcie, a Burek na jego widok przewracał się do góry łapami lub pełzał na brzuchu i wywijając ogonem skomlał jak szczeniak. Gospodyni nie mogła się temu nadziwić.

– Widać gadzina wyczuła w kawalerze dobre serce – powiedziała.

Na drugi dzień pogoda zepsuła się i od rana siąpił deszczyk. Włodek gdzieś się zapodział. Franek wyciągnął książkę, zeszyt, ołówek i usiadł za stołem.

– Czy nie za wcześnie? – zapytał stryjek. – Po roku nauki musisz przecież trochę odpocząć. Od tego są wakacje.

– Po wakacjach mam poprawkę. Obiecałem.

– Wiem, wiem, będę ci pomagał, ale wydaje mi się, że najpierw powinienes odetchnąć.

– Właśnie, proszę pana, że trochę za dużo oddychałem.

– Ha, to co innego, wobec tego siadajmy. Umówmy się w ten sposób: będziemy pracowali godzinę dziennie. Jeżeli będzie ładna pogoda, zwolnię cię z lekcji. Za to, jak będzie deszcz, popracujemy przez dwie godziny i dłużej. Żeby wyrównać. Oczywiście niedziele się nie liczą. Zgoda?

– Zgoda.

Po kilku pierwszych lekcjach stryjek stwierdził, że z Frankiem wcale nie jest tak źle. Ma sporo wiadomości, tylko trzeba je uporządkować, bo nie umie z nich korzystać. Krótko mówiąc, nie myśli matematycznie i z tym największa bieda. Zaczęli książkę od pierwszej strony, a nawet cofnęli się do materiału z poprzedniego roku. Potem szybko posuwali się naprzód.

W dżdżyste dni grywali ze sobą w szachy. Frankowi przypominały się wtedy godziny spędzane z ojcem.

Stryjek lubił i pożartować. Kiedyś, gdy wybrali się do sadu po jabłka, powiedział:

– Newton był jednak największym uczonym.

– Dlaczego największym? – zapytał Włodek.

– Bo odkrył, że jabłka spadają na ziemię. Gdyby nie on, do dzisiejszego dnia musielibyśmy łązić po drzewach.

- Pana, to chyba muszą uczniowie bardzo lubić – rzekł Franek,
- Myślisz? Matematyka to jeden z najciekawszych przedmiotów, trzeba ją tylko zrozumieć. Nie jest możliwe, żeby ten, kto ją dobrze rozumie, nie polubił jej.
- Chciałbym się tak nauczyć, żeby zdać na piątkę.
- Może i dojdzie do tego. Mamy przed sobą dużo czasu. Ale ty i z fizyki nie jesteś najmocniejszy. Warto by nad nią trochę przysiedzieć fałdów.
- Fizyka ujdzie w tłoku – powiedział Franek.
- Tak? Zobaczmy. Zgodnie z trzecią zasadą Newtona ziemia i kamień przyciągają się nawzajem równymi siłami. Jeżeli kamień spada na ziemię, to i ziemia spada na kamień. Tego jednak nie dostrzegamy. Dlaczego?
- Bo stoimy na ziemi – odpowiedział Franek poważnie. – Gdybyśmy stali na kamieniu, wydawałoby nam się całkiem odwrotnie.
- Żartujesz?
- Oczywiście, że żartuję.
- Swoją drogą masz trochę racji, ale to już zupełnie inna sprawa.

Któregoś dnia było we wsi wielkie poruszenie. Przyjechał na gościnne występy wędrowny hipnotyzer i zapowiedział, że będzie wszystkich usypiał. Trudno w to uwierzyć.

- Właściwie, na czym polega hipnoza? – dopytywał się Włodek.
- Zjawisko hipnozy nie jest jeszcze do końca zbadane i ciągle czeka na opracowanie naukowe – odparł stryjek.
- Podobno oczy niektórych ludzi mają własności hipnotyczne.
- Niezupełnie. Czasem aby kogoś zahipnotyzować, wystarczy ludzki głos, a nawet płyta, na której są nagrane rozkazy hipnotyczne. Jednak nie wszyscy ulegają hipnozie. Przeciętnie jeden człowiek na pięciu. Natomiast w pewnych wypadkach stosowana jest w medycynie tak zwana narkohipnoza, to znaczy hipnotyzowanie za pomocą zastrzyków. Temu ulegają wszyscy. Co dziwniejsze, usypiony mówi prawdę na zadawane pytania. Toteż ten rodzaj hipnozy nazywano w swoim czasie „zastrzykiem prawdy”.
- O, raj! – zawołał Franek. – I człowiek wszystko wtedy wypaple?
- Zdarza się, że pacjent, który bardzo nie chce czegoś powiedzieć, budzi się.
- Całe szczęście.

Bilety kosztowały niedrogo i w przestronnej izbie zmieściło się wiele osób. Hipnotyzer wyglądał niepozornie. Na oko niczym się nie różnił od innych, chyba tylko tym, że prawdopodobnie nie miał zezwolenia na uprawianie swojego „rzemiosła” i dlatego grasował po wsiach.

Gdy się już wszyscy zebrali i zamknięto drzwi, skinął na jednego z chłopów. Posadził go na krzesło, a sam usiadł naprzeciwko. Rozpoczął się seans.

Hipnotyzer patrzył na siedzącego mężczyznę jak wąż na królika, potem wyciągnął ręce i monotonnym głosem zaczął mówić:

– Usypiasz... Bardzo ci się chce spać... Jesteś senny... Bardzo senny... Coraz bardziej... coraz bardziej... Oczy ci się zamykają... Już śpisz.

Rzeczywiście, mężczyzna zamknął oczy i siedział nieruchomo. Hipnotyzer zwrócił się do publiczności.

– A teraz zahipnotyzowany będzie spełniał moje rozkazy.

I zwrócił się do śpiącego.

– Siedzisz pod drzewem jabłoni. Zobacz, jakie piękne jabłko rośnie nad twoją głową.

Usypiony podniósł głowę do góry, jak gdyby się czemuś przyglądał.

– Wstań. Zerwij je!

Mężczyzna wstał i wyciągniętą ręką chwycił powietrze. Widocznie jabłko nie udawało mu się zerwać.

Wtedy hipnotyzer dopomógł mu, mówiąc:

– Już je zerwał. Jest bardzo smaczne. Skosztuj, zobacz!

Uśpiony zbliżył dłoń do twarzy i zaczął poruszać ustami. Miał bardzo zadowoloną minę.

– A teraz przyszła narzeczona i chcesz z nią zatańczyć – hipnotyzer podał mężczyźnie stojącą w kącie miotłę. – Proszę tańczyć z narzeczoną, przecież grają dla was oberka.

Mężczyzna przytulając miotłę, zaczął się kręcić i przytupywać. Ludzie wybuchnęli śmiechem.

Nagle hipnotyzer zrobił kilka ruchów rękami, tancerz zatrzymał się w pół kroku i otworzył oczy.

Ludzie bili brawo.

– Kto jeszcze chciałby spróbować?

Franek śmiało wysunął się z cizby, lecz hipnotyzer spojrzał na niego przelotnie i rzekł:

– Nie nadajesz się.

Wiele się we wsi mówiło o tym seansie, ale kto nie był obecny, nie chciał wierzyć.

W kilka dni później przeżył Franek znacznie większą emocję. Wieczorem wybrał się z Włodkiem do syna kościelnego. Zebrało się kilku chłopców i usiedli na niskim murku. Nieco dalej majaczył w mroku kościół. Do kościoła przylegał cmentarz.

Rozmawiali o tym i owym, aż wreszcie zgadało się o duchach.

– Boisz się duchów? – zapytał syn kościelnego.

– Gdyby były, to może bym się i bał – powiedział Franek. – Tylko że ich nie ma.

– Akurat! Stara Weronka sama widziała. Możesz ją zapytać. O mało nie umarła ze strachu.

– Co widziała?

– Jakies takie: ni to koza, ni chłop. Z pyska podobne do nietoperza, a hukalo jak sowa. Goniło ją.

Chłopcy rozejrzeli się niespokojnie i siedli bliżej siebie.

– Nie wierzę – powiedział Franek.

– Takis mądry? A poszedłbyś sam na cmentarz?

– Poszedłbym.

– Aha! A kto by sprawdził?

– Możesz iść razem ze mną.

– Nie ma głupich.

– To pójdę z Włodkiem.

– Odczep się – pisnął Włodek cieniutkim głosem. – Spać mi się chce. Muszę wracać do domu.

– Jakżeś taki chojrak – powiedział syn kościelnego – to dam ci klucze od kościoła. Pójdiesz?

Franka zatkało.

– Masz pietra?

Franek pomyślał, że kościelny nie da Józkowi kluczy, toteż powiedział ze sztuczną swobodą:

– Coś ty! Mogę pójść.

– Ale na dowód, że byłeś w środku, przynieś dzwonek z głównego ołtarza.

– Przyniosę.

Józek sypanął się do domu. Po chwili wrócił, triumfalnie dzwoniąc kluczami.

We Franku zamarło serce. Teraz nie mógł się już cofnąć, bo stałby się pośmiewiskiem chłopaków. Wyciągnął spoutniałą rękę po klucze.

– Ten największy – powiedział Józek. – I nie zapomnij o dzwonku.

– A nie zwiejecie? – upewniał się Franek.

– Nnnieeee...

– Słowo?

- Słowo!
- Włodek, zaczekasz?
- Zaczekam.
- Ma który zapałki?

– Na co ci zapałki? Przed ołtarzem i w nawach palą się lampki. Nie zabłądzisz.

Ścisnął w rękę klucze i ruszył w stronę kościoła. Przez drogę wmawiał sobie, że to nie straszne. Żeby tak Marychna mogła go teraz widzieć. Głupia geś!

Zanim doszedł do kościoła, był całkiem mokry. Drżącą dłonią wetknął klucz w dziurkę. Zgrzytnął nie naoliwiony zamek. Skrzypnęły drzwi i ukazała się mroczna kruchta.

Franek na palcach wsunął się do środka i z bijącym sercem zbliżył się do głównego ołtarza.

Do pleców przypiął mu się garbaty strach. Byle się tylko nie obejrzeć, bo zobaczy coś upiornego...

Sięgnął po dzwonek. Bojąc się jego głosu, ostrożnie pochylił dzwonek i chwycił za serce. Teraz, mając w rękę kawałek zimnej stali, czuł się cokolwiek pewniej. Ale gdy się odwrócił i dojrzał na ścianie tańczące cienie, zamarł z przerażenia.

To nic. To przecież tylko cienie, które rzuca światło lampki. Powoli, krok za krokiem, zbliżał się ku wyjściu.

Został jeszcze najtrudniejszy odcinek drogi, przez mroczny przedsionek.

Strach siedzący na plecach wyciągnął rękę i kościaną dłonią chwycił go za gardło. Franek resztką woli zmusił się do zamknięcia drzwi i przekręcenia klucza w zamku. Ostrożnie zrobił kilka kroków, a potem na oślep począł biec w ciemność, wołając:

– Chłopakiiii!

Ale murek był pusty. Zaraz po odejściu Franka wszyscy zwieli do chałupy kościelnego i siedzieli w ciepłej, przytulnej kuchni.

Franek popatrzał na chłopców i powiedział tylko jedno słowo:

– Tchórze!

Chwilami Franek odnosił wrażenie, że stryjek Włodka bardziej go lubi niż własnego bratanka. Włodek także to zauważył i był zazdrosny. Między Włodkiem i Frankiem coś się popsulo. Stryjek zdawał się tego nie widzieć. Po dawnemu rozmawiał z Włodkiem o jego ojcu, a Franka uczył matematyki i grywał z nim w szachy.

Historia z dzwonkiem przysporzyła Frankowi więcej sławy niż obłaskawienie dzikiego Burka. Miał teraz dużo kolegów i nigdy się nie nudził. Pływali, chodzili na grzyby i pomagali przy żniwach. Wiązali snopy, podawali je widłami na kopiaste furmanki, a potem na sąsieki.

Od rodziców dostał kilka listów. Odpisał, starannie sprawdzając słowo po słowie, by nie narobić błędów:

Kochana Mamusiu i Tatusiu!

Jest mi (u bardzo dobrze i niepotrzebnie się o mnie niepokoić. Jedzenia w bród i w bród można przejść przez jezioro, jeżeli ktoś jest brudny i chce się umyć. Utopić się nie sposób. Ostatniego wilka, jaki żył w tym lesie, zabił już dawno myśliwy z „Czerwonego Kapturka”. Jest za to Burek. Ogromnie dzika bestia, która mnie terroryzuje i stale każe się głaskać. Ale już go ujarzmiłem i teraz zgadza się na to, żebym odrabiał matematykę. Okazało się, że jest to bardzo ciekawy przedmiot. Stryjek Włodka jest znakomitym profesorem i chciałbym, żeby wykładał w naszej szkole. Wtedy na pewno miałbym trójkę. Ale nic się nie martwcie. I tak dostanę czwórkę, żeby tylko mamusia pozwoliła mi grać w teatrze. Pozwolisz, mamo, prawda? Zaraz po wakacjach będzie premiera. Czy mój film ukazał się już na ekranach?

Dla Kryśki osobne pozdrowienia: jest świnia, że jeszcze do mnie nie napisała. Teraz już nie warto, bo za tydzień wracam do Warszawy.

Stęskniłem się za wami i chociaż jest mi tu bardzo dobrze, chciałbym jak najprędzej być w domu. Może uda mi się ograć Ojca w szachy, bo trenuję, i to z nie lada graczem! Nazbierałem sporo grzybów, ususzyłem i przywiozę Mamie w prezencie. Oto niektóre z nich.

Do tego listu dołączyłem kilka stron różnych bazgrołów, kólek i kresek, które niby to miały być ilustracjami grzybów. Pod spodem, na ostatniej stronie, dopisałem:

Całuję Was 10^{12} razy

Wasz matematyk

Franek Mamin-Tatyk

POWRÓT

Krystyna wróciła znad morza poprzedniego dnia i teraz razem z rodzicami wyszła po Franka na przystań. Gdy tylko Franek po powitalnych uściskach i pocałunkach zaczął coś opowiadać, wybuchnęła śmiechem:

– Mamo! Słyszysz, jak on mówi? Powiedz jeszcze coś.

Franek zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego wszystkim jego słowom towarzyszy ogólna wesołość.

– Nareszcie będziemy miały w domu prawdziwego mężczyznę – powiedziała matka.

– O czym wy mówicie? – pytał speszony.

Wiedział, że przez te dwa miesiące wystrzebił w górę, że opalił się i zmęźniał, ale nie znajdował w tym powodów do śmiechu. Z tego tylko nie zdawał sobie sprawy, że przeszedł na wsi mutację i że mówi grubym, męskim głosem, który załamując się wpada niekiedy w kogucie pianie.

– Wypocząłeś na wakacjach? – pytała matka. – Nie głodzili cię tam?

– Skąd znowu! Było wspaniale! Las, jezioro, masa kumpli, psy, a stryjek taki, że można się w nim zakochać.

– Przecież to nauczyciel – zauważył ojciec.

– Co z tego? Owszem, nauczyciel, ale jaki!

– A co z matematyką?

– Phi! Nie boję się.

– Nie boisz się egzaminu? – zdziwiła się Kryśka. – Boże, jak ja drżałam przed maturą!

– Czego się mam bać? Sam się dziwię, jak mogłem tego nie rozumieć.

– No, no – upominała matka – nie mów: hop! Zobaczmy, co powie o tym twój profesor.

Egzamin wypadł nadspodziewanie dobrze. Franek grubo przed wyznaczonym czasem rozwiązał wszystkie zadania i nauczyciel patrzył na niego zdumionym okiem.

– Czy to ty jesteś Fszystkonietak? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak.

– Tak czy nie tak?

Franek zmieszał się. Takiego pytania się nie spodziewał. Był pewny, że profesor będzie go piłował i znęcał się nad nim, że będzie się starał przyłapać go na czymkolwiek. Ale, widać, profesor spoważniał przez wakacje, bo pokręcił tylko głową i powiedział:

– No, Fszystkonietak, widzę, że się co do ciebie myliłem. Nie wiem, jak z innych przedmiotów, ale z matematyki powinieneś mieć piątkę.

Franek był w siódmym niebie. Jego praca nie poszła na marne. Cieszył się jak człowiek, który po długim, daremnym dobijaniu się do zamkniętych wrót znajduje nagle otwartą furtkę.

– Mamo! – wykrzyknął, wpadając do mieszkania. – Mamo! Zdałem! Zdałem na piątkę!

I zaczął tańczyć po pokoju.

Matka ucałowała go.

– Żebyś tylko, synku, dobrze się sprawował. Nawet nie wiesz, ile sobie robisz krzywdy tymi różnymi wygłupami. Wielki czas, żebyś nareszcie był poważniejszy.

- Będę, mamó. Zobaczysz, że w tym roku wszystko pójdzie całkiem inaczej.
 - I porozmawiaj z wychowawcą.
 - Z Filutkiem?
 - No, z profesorem Bielewiczem. Przepróś go.
 - Mamusiu, a czy będę mógł pójść do teatru?
- Pani Fszystkonietak machnęła ręką.
- Leć już, leć! Przecież za kilka dni premiera.

Próba generalna trwała do późnej nocy. Nazajutrz miała być premiera.

Gdy następnego dnia przyszedł do teatru, przy drzwiach stali bileterzy, a kasa otoczona była dziećmi i rodzicami.

Chłopcy zaczęli się przygotowywać do występu. Ich trema rosła z każdym dzwonkiem.

I wreszcie trzeci dzwonek.

Za spuszczoną kurtyną pani Kobyłańska udzielała ostatnich rad i starała się natchnąć chłopców spokojem. Ale sama była bardzo przejęta.

Ustawili się na planie.

Chwila oczekiwania i... gong. Słyszany tutaj, z tej strony kurtyny, zabrzmiał inaczej niż zwykle. Jedno... dwa... trzy uderzenia.

Kurtyna poszła w górę.

W szkole Franek podszedł do profesora Bielewicza.

- Panie profesorze, chciałem pana przeprosić.
- Już zdążyłeś coś zbroić? – zdziwił się wychowawca.
- Nie, panie profesorze. W ogóle chciałem pana przeprosić.
- A za cóż to?
- No, za wszystko. Za to pudełko... i za żyletki... Za cały poprzedni rok. Zrobiłem panu dużo przykrości.
- Nie mówmy o tym – powiedział pan Bielewicz. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Na razie masz czyste konto. Życzę ci powodzenia.

– Dziękuję, panie profesorze!

Potem zbliżyła się Marychna.

- Jak się masz, Franek! Nawet się ze mną nie przywitałeś. Gniewasz się?
 - Za co?
 - Widziałam na mieście plakat. Dlaczego nie powiedziałeś, że grasz w filmie?
 - Co miałem mówić...
 - Podobno ludzie płaczą na sali, wiesz? Idę dzisiaj z rodzicami.
 - Płaczą?
 - Jeszcze jak. Po seansie wszyscy mają czerwone oczy.
 - To po co idziesz? Chcesz się popłakać?
 - I tak już przez ciebie płakałam.
 - Żartujesz...
 - Naprawdę.
 - Kiedy?
 - No, wiesz. Wtedy... Antek ci nic nie mówił?
- Chciał odpowiedzieć, ale zbliżył się do nich Gryl.
- Jak się masz, artysto z kociego teatru? Więc żyjesz?
- Franek zmierzył go oczami. Nie odpowiedział.
- Już sto pięćdziesiąt lat temu żołnierze płakali po tobie wazeliną. He-he-he!

Podczas gdy tak rechotał, Maks ukląkł za jego plecami, a Godlewski zniemacka wyciągnął rękę i krzyknął:

– Piff!

Gryl cofnął się i wywinął kozła w powietrzu.

Po lekcjach Franek wpadł do domu jak bomba.

– Mamusiu! Dzisiaj dostałem pierwszą czwórkę! I pogodziłem się z Marychną!

Ojciec i matka wymienili spojrzenia.

– Z Marychną? A któż to taki?

– No... koleżanka.

– Ze szkoły?

– Aha! Od jutra będziemy siedzieć w jednej ławce.

– I my też mamy dla ciebie niespodziankę. Helenko, gdzież to się podziała ta gazeta?

Pani Fszystkonietak wysunęła szufladę i wydobyła z niej starannie złożoną gazetę. W rubryce recenzji filmowych czerwonym tuszem zakreślony był następujący ustęp:

Film zawdzięcza swój sukces znakomitej grze aktorów tej miary, co K. i Z., a także grze chłopca, który z taką brawurą odtworzył postać bohaterskiego dobosza. Franek Fszystkonietak, którego oklaskujemy w Szkolnym Teatrze Eksperymentalnym, gra rzeczywiście FF. Rosną młode talenty.

*
* *
*

Zgodnie z naszą umową siedzieliśmy na plaży, jedząc wiśnie.

– Jak pan myśli – zapytał Franek – czy to już koniec? Czy na tym skończą się tarapaty pańskiego bohatera?

– Bo ja ci wiem? – odparłem po chwili zastanowienia. – Nie mogę przecież zmyślać tego, czego nie było. Nie chciałbym nikogo oszukiwać, a prorokiem nie jestem. To nie mój zawód.

– Ale chyba jakoś wyobraża pan sobie dalszy ciąg? – nie dawał za wygraną.

– Cóż, można sobie wyobrażać bardzo różnie. Jedno jest pewne: dalsze losy zależą wyłącznie od samego bohatera. Choćbym nawet chciał mu niekiedy przyjść z pomocą, nie na wiele się to zda. Franek ma nierówny charakter i nigdy nie wiadomo, czego po nim oczekiwać.

– Z pana to też. I po co to ja wszystko panu mówiłem? Myślałem, że pan go rozumie, a pan tak samo, jak Filutek.

– Precz od Filutka – powiedziałem. – Zachowujesz się jak Fszystkonietak. Nawet gorzej. Fszystkonietak był w gruncie rzeczy dobrym chłopcem i nikomu celowo nie zrobiłby przykrości. Zresztą z profesorem Bielewiczem już się pogodził. Wiesz o tym najlepiej.

– Ale co było dalej?

– Prowokujesz? Więc dobra. Dalej było tak:

Po egzaminie Franek pełen jak najlepszych intencji przyszedł do szkoły i (co wszystkich niezmiernie zdziwiło) przez pierwsze kilka dni zachowywał się niemal wzorowo. Aż kiedyś, znienacka, znowu wstąpił w niego zły duch i wszystko zaczęło się od początku. Ojciec był zawiedziony, matka smutna, a profesorowie wściekli. Oczywiście Franek obiecywał, że się poprawi i miał nadzieję, że wypadki potoczą się jak w poprzednim roku. Ale sromotnie się zawiódł. Historia nigdy się nie powtarza, a przysłowie jest nędzne i warto by je zmienić. Franka z trzaskiem wyleli ze szkoły, jego ojciec posiwił ze zgryzoty, a matka... Stój! Stój. szalona pałko! Dokąd lecisz!?

Zerwałem się i w ostatniej chwili złapałem go za nogę, ale Franek wił się jak piskorz i wołał:

– Nie chcę! Nie chcę!

A krzyczał tak głośno, że zrobiło się zbiegowisko i jakaś pani zwróciła mi uwagę, żebym się nie znęcał nad dzieckiem.

Odpowiedziałem z godnością, że jest to moje osobiste dziecko i że mógłbym je nawet utopić. Wtedy Franek parsknął śmiechem, pani zrobiła wielce obrażoną minę, a ktoś zauważył przytomnie, że „jaki ojciec, taki syn” i że „niedaleko pada jabłko od jabłoni”. Potem zostawili nas w spokoju.

Franek usiadł na piasku, skrzyżował nogi, spojrzał na mnie okiem inkwizytora i rzekł dobitnie:

– Jeżeli pan w tej chwili nie zmieni zakończenia, nie chcę pana znać.

– Usiądź na kocu – powiedziałem pojednawczo – zagramy w ciupy. Oczywiście, że zakończenie jest całkiem inne, tylko tak żartowałem.

– Ładne mi żarty! Żeby ojciec osiwiiał, a matka... już nie wiem co.
– Jak to nie wiesz? Przecież ci mówiłem, że wszystko zależy wyłącznie od samego bohatera. Ja tam bohaterem nigdy nie byłem. Widziałeś przed chwilą, że nawet takiego szkraba, jak ty, nie mogę bezkarnie złapać za nogę. Skończ sam, bo mnie przychodzą do głowy najczarniejsze myśli.

– Niech się pan nie wykręca.

– A w ogóle, jak ty się do mnie odzywasz?

– Przepraszam. Zapomniałem się. – I już zupełnie miękko: – Psze pana, niech pan będzie łaskaw skończyć.

Załamalem się, ale nie dałem po sobie poznać. Postanowiłem wypróbować go do końca.

– Skończę, jeżeli mi odpowiesz na jedno pytanie – rzekłem i zadałem Frankowi przeraźliwą zagadkę: – Z kim na początku roku szkolnego Franek Fszystkonietak musiał stoczyć zaciętą walkę i kto ją wygrał?

Byłem zupełnie pewny, że Franek odpowie w ten sposób: „Franek musiał stoczyć zaciętą walkę z Grylem. Gryl dostał w skórę. Zgadłem, no nie?”

Ku mojemu zdziwieniu Franek zmarszczył czoło i przez chwilę o czymś myślał. Potem nie patrząc na mnie powiedział cicho i uroczyście, jakby sam sobie zdradzał wielką tajemnicę:

– Na początku roku szkolnego, a nawet później, Franek musiał toczyć zaciętą walkę z Fszystkonietak. Walkę wygrał, ale mimo to Fszystkonietak stale go zaczepiał i zawsze próbował mu szkodzić. Tylko że Franek już się go nie bał.

– Bravo! – zawołałem i wpakowałem mu do ust pełną garść wiśni. – Okazuje się, że lepiej ode mnie znasz zakończenie. Najważniejsza rzecz w życiu, to pokonać samego siebie. Furda wszystkie inne przeciwności!

Więc dalej było tak:

Od chwili kiedy Franek pokonał własne słabości, zaczął się doskonale uczyć i chodził zawsze uśmiechnięty. Ojciec był dumny jak paw, a matka śpiewała jak słowikowa, i już nigdy nie było w domu nieporozumień. Potem Franek zdał maturę i skończył Wyższą Szkołę Teatralną, a jeszcze potem został znanym aktorem i zyskał powszechne uznanie.

Ojciec przestał pracować (zresztą miał już emeryturę) i pomagał trochę w domu, matka miała przez to więcej czasu i była zadowolona, a Krystyna z mężem (rzecz jasna, że Krystyna wyszła już za mąż) pukali czasem do pokoju Franka i pytali: „Czy jedziesz dzisiaj do telewizji, bo chcielibyśmy zaprosić cię na brydża?”

Mieszkali wszyscy razem w pięknym, spółdzielczym mieszkaniu. Oczywiście na dole Franek miał garaż, obok którego rosło wiśniowe drzewo. Dziwne, prawda?

A kiedy ktoś mu zazdrościł (byli i tacy) i mówił słodko:

„Mój Boże, jaki pan szczęśliwy, że tak pan sobie ułożył życie!” – Franek odpowiadał: „Moje szczęście polega na tym, że nazywam się Fszystkonietak... A jednak wszystko jest tak, jak trzeba”.

SPIS ROZDZIAŁÓW

*

* *

2:3 dla Warszawy

Wizyta

Na bazarze

Wywiadówka

W klasie

Teatr

Klub Dżentelmenów „Victoria”

Antek

Ojciec

Wspomnienia

Na wyspie

Przebudzenie

Marychna

Ponętna propozycja

W niedzielę

Skarb

Koniec roku

Powrót

*

* *